



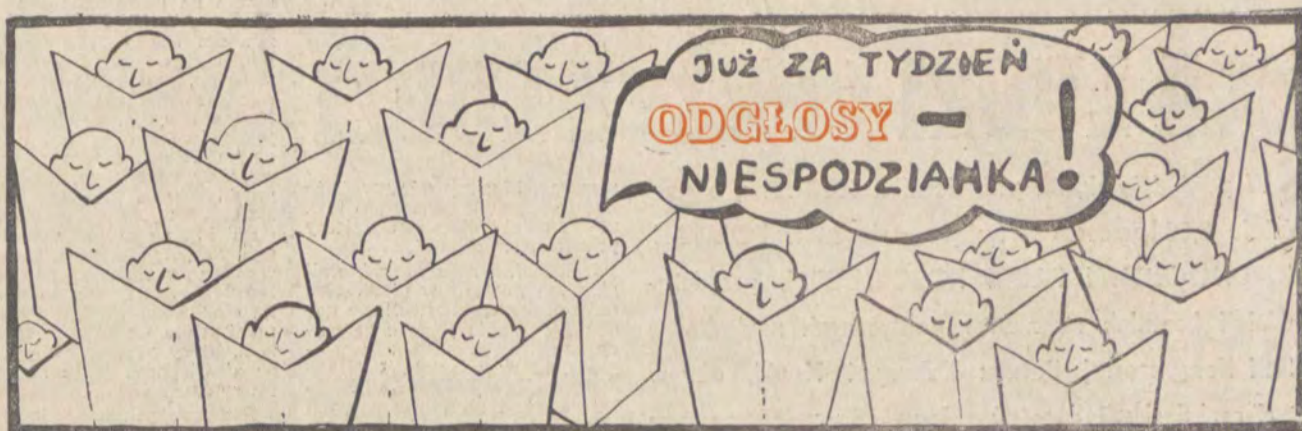
43

Rok XVI

(832)

CENA 1.50 ZŁ.

28.10.73



ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

JUŻ OD NASTĘPNEGO NUMERU

będą ukazywały się inne niż do tej pory „ODGŁOSY”.

Na czym będzie polegała zmiana?

Jak wiadomo, łódzka prasa otrzymała nową drukarnię. Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” nie tylko przeniosły się do innych pomieszczeń, ale także otrzymały nowe wyposażenie poligraficzne. Dzięki temu łódzkie gazety codzienne zmieniły swój format.

A więc od następnego numeru będziemy ukazywali się w większym formacie.

Jednocześnie również JUŻ OD NASTĘPNEGO NUMERU będziemy ukazywali się w większej objętości. Wprawdzie jeszcze nie co tydzień, ale dwa razy w miesiącu Czytelnik otrzyma szesnaście stron „ODGŁOSÓW”.

Czy będą to tylko zmiany formalne? Czy będzie to tylko zwiększenie objętości tygodnika i zmiana formatu?

Nie! Mając więcej miejsca, chcemy też zmienić charakter pisma. Będziemy starali się nie tylko więcej zamieszczać materiałów, ale i bogaciej je ilustrować. Będziemy dążyli do tego, aby Czytelnik „Odgłosów” miał więcej:

- reportaży,
- informacji i komentarzy o wydarzeniach zachodzących na świecie,
- artykułów publicystycznych na tematy społeczne, kulturalne i gospodarcze,
- ciekawych wiadomości z kraju, Łodzi i województwa łódzkiego.

Będziemy też mogli więcej miejsca poświęcić problemom współczesnej cywilizacji, nauki, i kultury.

A WIĘC OD NASTĘPNEGO NUMERU „ODGŁOSY” INNE NIŻ ZWYKLE.



ANDRZEJ GRUN

STAŁOWA SPIĘTE KLAMRA

W chwili, gdy do Warszawy wkroczyła wraz z oddziałami polskich i radzieckich żołnierzy wolność, wśród ruin umęczonego do granic ostatecznych, spalonego niemal doszczętnie miasta żyło 162 tysiące ludzi. Osiemset tysięcy znalazło grób w tym mieście, które miało być raz na zawsze wymazane z mapy Europy, na miejscu którego miały rosnąć kartofle... Tylko, że miejsce to, zwalisko straszliwych ruin nosiło dumne imię Warszawa, było stolicą dumnego narodu; było jego sercem. I nie kartofle rosną dziś na Starym Mieście i Zamek z wolną dźwiga swe mury i Zygmunt Król z kolumny spogląda spokojnie...

(Dalszy ciąg na str. 6)

ŁÓDZKA, FILMOWA

Z DOC. STANISŁAWEM KUSZEWSKIM, REKTOREM PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY FILMOWEJ, TELEWIZYJNEJ I TEATRALNEJ W ŁODZI rozmawia Konrad Frejdlch.

— Panie Rektorze, PW-SFTvIT w Łodzi jest jedną z wielu uczelni artystycznych w kraju, ale jednocześnie, sądząc choćby z ilości publikacji prasowych, które zostały jej poświęcone, jest szkołą nieco wyjątkową. Jak ta wyjątkowość rzutuje na jej sytuację?

— Specyfika nasza polega nie tylko na tym, że jako jedyni w kraju kształcimy realizatorów filmowych i telewizyjnych, ale także na rozmiarach, w jakich proces dydaktyczny łączy się u nas z działalnością produkcyjną. Każde ćwiczenie filmowe czy telewizyjne to w gruncie rzeczy mały film, lub małe widowisko ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Zużywamy rocznie 140 tysięcy metrów taśmy filmowej. Szkoła dysponuje atelier fotograficznym, filmowym i studiem telewizyjnym z pełnym wyposażeniem, posiada prócz tego salę teatralną dla studentów wydziału aktorskiego, którzy realizują własne spektakle.

— Szkoła często nazywana jest łódzką. Czy jest to przymiotnik związany tylko z lokalizacją uczelni, czy też można mu przypisać treści ideowe?

— Od początku swego istnienia szkoła działa w Łodzi i chyba dość trwale wrosła w pejzaż kulturalny



Doc. Stanisław Kuszewski

miasta. Łódź jest zresztą, jak wiadomo, centrum produkcji filmowej, tutaj przecież znajduje się Wytwórnia

(Dalszy ciąg na str. 6)

ZOFIA TARNOWSKA

„Wartownicy”

CO SIĘ KOJARZY ZE SŁOWEM „WARTA”?
POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA, PEWNOŚĆ,
OCHRONA, ODPOWIEDZIALNOŚĆ...

(Czytaj na str. 4)

DLA LUDZI I PRZEZ LUDZI

W poniedziałek, 22 października 1973 roku, o godzinie 8,30 przeszło 2 tysiące delegatów POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ, przedstawicieli bratnich stronnictw politycznych zasiadło w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki, aby w twórczej dyskusji określić kierunki przyspieszonego rozwoju kraju.

Polityka społeczno-ekonomiczna partii, zapoczątkowana na VII i VIII Plenum KC PZPR, przyniosła już swoje rezultaty. Jej podstawowym rezultatem jest wysokie tempo przyrostu produkcji, wyzolenie społecznej inicjatywy, dalszy rozwój demokracji społecznej. Już w pierwszych wystąpieniach delegatów wyrażano poparcie dla dalszych zamierzeń partii i rządu, dla programów naszego postępu, jakie zawarte były w referatach wygłoszonych przez I sekretarza KC PZPR - EDWARDA GIERKA i premiera - PIOTRA JAROSZEWICZA.

NASZYM NAJWAŻNIJSZYM CELEM, NAJPIŁNIEJSZYM ZADANIEM - powiedział między innymi Edward Gierek - będzie przyspieszanie postępu technicznego i organizacyjnego. Partia w swojej polityce będzie nadal kierowała się zasadą: wszystko dla ludzi i przez ludzi. I ten najważniejszy cel temu ma przede wszystkim służyć. Musimy być krajem nowoczesnym, krajem, który będzie liczył się w epoce rewolucji techniczno-naukowej, który do tej rewolucji wnieść będzie swój wkład. Ale skutki tej rewolucji naukowo-technicznej musimy odczuwać

wszyscy. Musimy odczuwać, że będzie się nam pracowało łatwiej, ale i dzięki temu będziemy pracowali wydajniej. Delegaci, którzy zabierali głos w dyskusji w pierwszym dniu obrad wskazywali, że posiadamy ciągle jeszcze ogromne możliwości. Toteż i program, który przyjęła I KRAJOWA KONFERENCJA PARTIJNA jest na miarę naszych możliwości, ale też i na miarę naszych potrzeb. Abyśmy jednak ten program zrealizowali, abyśmy mogli przyspieszyć realizację czekających nas zadań, musimy inaczej, bardziej nowoczesnie spojrzeć na to wszystko, co robimy. Niezwykle dla mnie charakterystyczne było to, co powiedział w swoim przemówieniu I sekretarz KW PZPR w Katowicach - Zdzisław Grudziński. Stwierdził on, że oddanie nowej inwestycji powinno być nie do momentu przecięcia wstęgi, ale od momentu, kiedy osiągnie ona swoją planowaną moc produkcyjną. Kiedy wykorzystując wszystkie swoje możliwości włączą się do pomnażania dochodu narodowego. Partia podjęła decyzję utrzy-

mania na niezmiennym poziomie cen w artykuły spożywcze: mięso i przetwory mięsne, chleb i przetwory zbożowe, mleko i przetwory mleczne oraz cukier. Jest to trudna decyzja, podejmując ją bowiem w okresie, kiedy na całym świecie rosła cena artykułów spożywczych, kiedy pogłębia się na świecie kryzys żywnościowy. Partia zapowiada dalej, że polityka cen będzie podporządkowana zasadzie wzrostu realnych dochodów ludności. Ale będzie to polityka elastyczna, gdyż nie jesteśmy krajem wyizolowanym, takim, który może nie liczyć się ze zjawiskami, jakie zachodzą na rynkach świata. Podejmując tę decyzję partia oczekuje pomocy wszystkich pracujących, pomocy wyrażającej się nie tylko wzrostem wydajności, ale również pełniejszym wykorzystaniem importowanych surowców, stałym unowocześnianiem i uszlachetnianiem produkcji. Chcemy kupować dobre towary, nowoczesne maszyny i urządzenia, musimy w zamian na rynku zagranicznym i krajowym dostarczać coraz to lepsze, atrakcyjniejsze towary. I stać nas na to. Temu ma między innymi służyć szeroko prowadzona polityka inwestycyjna: budowa nowych fabryk, modernizacja starych. Tu powołam się jeszcze raz na przemówienie Zdzisława Grudzińskiego - I sekretarza KW PZPR w Katowicach, który powiedział między innymi, że

nowoczesną technikę należy powierzać najlepszym ludziom, dobrze przygotowanym, zdolnym, pełnym nie tylko dobrej woli, ale i wiedzy i inicjatywy. I przypominam, że delegaci oklaskami powitali słowa Edwarda Gierka, kiedy mówił, że najlepszymi ludźmi trzeba śmiało wysuwać na odpowiedzialne stanowiska, cenąc inicjatywę, wiedzę i zdolności. Ludziom tym trzeba pomagać, doceniać ich pracę, bo często z wielkimi zdolnościami idzie w parze skromność, bo tacy ludzie nie potrafili rozpychać się lokciami. A oni są dla przyszłości narodu najcenniejsi. Partia nie tylko widzi potrzebę przyspieszenia kroku, stara się stwarzać również niezbędne ku temu warunki. Służyć temu też będzie dalsze umacnianie demokracji społecznej. W powołanym do życia samorządzie mieszkańców, w organizacjach społecznych tworzy się warunki dla działania tych wszystkich, którym droga jest nasza przyszłość, kto chce przyczynić się do rozwoju kraju, do poprawy naszego życia. Na I KRAJOWEJ KONFERENCJI PARTIJNEJ zapowiedziano dalsze umocnienie władzy administracyjnej. Nastąpi rozdzielenie władzy ustawodawczej od wykonawczej. Ujednolicenie systemu władzy od góry do dołu. Nastąpi dalsze umocnienie współdziałania bezpartyjnych z

partią, która wzięła na siebie odpowiedzialność za losy całego narodu. Nastąpi dalsze współdziałanie z bratnimi stronnictwami politycznymi. Różnie i umacnia się rola i znaczenie FRONTU JEDNOŚCI NARODU. Zbliżające się wybory do rad narodowych będą okazją dla szerokiego włączenia się w codzienne życie Polaków tych wszystkich, którzy swoimi zdolnościami, umiejętnościami, doświadczeniem mogą przyczynić się do utrzymania i zwiększenia tempa naszego życia. Premier PIOTR JAROSZEWICZ, prezentując zadania gospodarcze i społeczne na najbliższe dwa lata, podkreślił, że mają one służyć zwiększeniu tempa rozwoju Polski i że, aby tak się stało, trzeba unowocześnieć metody zarządzania i kierowania. Trezba zatem, jeśli zadaniami tym chcemy sprostać, zacząć inaczej myśleć, przełamywać stare, zatwardziały nawyki, obalać anachroniczne schematy, codziennie troszczyć się o to, aby żadna nowa myśl, żaden projekt i pomysł nie został zaprzeczony w biurokratycznych okowach, nie zginał w męskiej oświaty. Potrzebny nam jest stali twórcy niepokoj, stale poszukiwanie coraz to lepszych rozwiązań.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POKAZ MODY

Ogłoszenia zawsze były pasjonującą lekturą, która czasem więcej dostarcza informacji o aktualnie panujących obyczajach niż niejedna praca naukowa. Różnica jest tylko taka, że w pracy naukowej autor przedstawia gotowe wnioski, a przy lekturze autentycznych ogłoszeń myśleć trzeba samemu. Więc pomyślałem. Okazało się ogłoszenie, jakie ukazało się niedawno na łamach "Głosu Robotniczego". Wiem, redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść ogłoszeń, nie mam też do niej żadnych pretensji. To tak tylko gwoli wyjaśnienia, aby nie było nieporozumień. Nie mam nawet pretensji do autorów ogłoszenia z ZURIT. Jest ono dla mnie po prostu pretekstem do rozmyślań na nieco szersze tematy. O naszych obyczajach z różnych dziedzin życia.

Ale wróćmy do ogłoszenia. Oto jego treść: „ZURIT” zaprasza na POKAZ MODY sprzętu radiowo-telewizyjnego DOMOWEGO UŻYTKU... Modne są u nas salony. Mam salon plastyki, pocztówek, „MOTOZBYTU” oraz salony fryzjerskie, to dlaczego nie może być POKAZU MODY telewizorów i radiodiodbiorników. Podejrzewam, że nowe modele telewizorów i radiodiodbiorników demonstrowały gęsto i rozebrano... modelki. Europa. Tylko mam wątpliwości, co do tych nowych telewizorów i radiodiodbiorników. Wprawdzie autorzy ogłoszenia piszą, że... Na pokazie nastąpi prezentacja walorów techniczno-użytkowych sprzętu, zaprezentowany zostanie kącik nowości... Ale ja im nie wierze. Chciałem kiedyś kupić telewizor.

Nie powiem, w sklepie było ich pełno, ale musiałem sporo nachodzić się, aby kupić taki, na jaki miałem ochotę. A poza tym, to ja naprawdę wolę demonstrację nowości od demonstracji kącika. Kąciki mam u siebie w domu i mogę się stawić do kącika, kiedy będę niegrzeczny, jak to dawno temu robiła ze mną pewna pani nauczycielka, kiedy byłem jeszcze mały i chodziłem do szkoły. Proszę jednak nie odczytywać jako aluzji, że to niby ja chcę postawić do kąta autorów ogłoszenia. Nie podobnego. Mnie interesuje sprawa mody i nowości. Modne można mieć ubranie. Teraz dla panów modne są szerokie klapy u marynarek. Modne można mieć nogi. Teraz akurat modne jest septyczym. Modne są fiaty 120p, choć ich jeszcze nie ma. i, może, właśnie dlatego. Modne mogą być radia i telewizory. Tylko zupełnie nie wiem, jakiej marki. Maluczko, a dojdziemy do pokazu mody lodówek, mikserów, wyznaczek, robotów kuchennych, a także wanien, sedesów i umywalk. Możliwość w tej dziedzinie jest wiele. Jeśli chodzi o mnie to wolałbym, aby w sklepach był większy wybór tak zwanych towarów pochodzenia przemysłowego.

Bardzo mi przykro, ale za chwilę przykro będzie dyrekcji MPK, jeśli przeczyta to co napiszę. Oto bowiem reporter „Dziennika Łódzkiego”, człowiek bywały w świecie, pochwalił się przed czytelnikami, że był niedawno w Szczecinie, gdzie zobaczył wiele ciekawych rzeczy. A że jest to bardzo dobry reporter, postanowił wykreślić z pamięci dla rodzinnego miasta wiedzę zdobytych w podróży. I zakomunikował MPK, że w Szczecinie można w kiosku „Ruch” kupić znaczek do biletu miesięcznego, tak jak kupuje się pojedyncze bilety, znaczki pocztowe, palperosy i inne artykuły dziennego i nocnego użytku. W Łodzi - jak bowiem wszyscy dobrze wiemy - są tylko dwa punkty sprzedaży takich znaczków: jeden przy ul. Rzgowskiej i drugi przy ul. Północnej. A Łódź przekroczyła już 750 tys. mieszkańców. Bagatelka, drugie co do wielkości miasto w Polsce. Statystycznie jeden punkt sprzedaży znaczków do miesięcznych biletów MPK przypada na przeszło 375 tys. osób. Ja wiem, że niemożliwa i starszki znaczków nie kupują i że to - poza tym - załatwia się zbiorowo, ale to i tak nie zmienia faktu. Do-

wodzi braku wyobraźni u dyrektorów MPK. Przepraszam, ale mówię, że będzie przykro. Zastępca dyrektora MPK - inż. E. Majewski - jak powiedział „Dziennik Łódzki” - oświadczył: „... że nie widzi potrzeby, aby cokolwiek zmieniać w obecnym systemie rozprzedażania znaczków. Jego zdaniem, punkty przy ul. Rzgowskiej i Północnej, w których we wtorki można kupować znaczki, także po południu, całkowicie wystarczają, tym bardziej, że w niektórych dniach również w Pabianicach, Kutnie i Zgierzu MPK prowadzi tego rodzaju punkty sprzedaży”. Ołóż to! Grunt, abyśmy spojeli mieli. Nie nie trzeba zmieniać, nie usprawniać, nie ułatwiać. Na to może tylko jeszcze POKAZ MODY sprzedawania i kupowania znaczków. Propozycja wcale nie od rzeczy. Zmiany żadnej nie będzie, a co się będzie działo w interesie. Przy okazji jakiś kącik można będzie demonstrować. I nowościę gotowa. Nauczylimy się nowością nazywać najczęściej to samo, tylko w innym wydaniu. Ale jak wiem z kół dobrze poinformowanych, już niedługo

skończą się takie praktyki i będziemy nowością nazywali rzeczy naprawdę nowe. Nawet, a właściwie dlatego, jeśli przyjdzie nam za te rzeczy płacić drożej. Takie jest powszechne prawo ekonomiki. Chcesz mieć to, co nowe - płacaj za luksus posiadania czegoś, czego jeszcze wszyscy nie mają. Bo też nowości powinny ukazywać się w krótkich seriach, ale powinny to być takie nowości, którymi nie będziemy się wstydzili przed całym światem. Tak jest na całym świecie i nie widzę powodu, aby u nas koniecznie musiałoby być inaczej. Ale też, aby tak mogło być, aby nowości zaczęła nowość, trzeba zacząć myśleć inaczej, bardziej nowoczesnie, po prostu zastanawiać się, czy to, co robimy, robimy dobrze, czy odpowiada to naszym, powszechnym potrzebom. Zachęcam więc wszystkich do myślenia. I nie od jutra, nie od poniedziałku. Najlepiej - od dziś, od zaraz. Można też zrobić mały POKAZ MODY myślenia w innym sposób. Osiobiście jednak nie zachęcam.

M. RODAK

ZE ŚWIATA


- ▼ STARY KONFLIKT WYBUCHŁ NOWYMI WALKAMI
- ▼ DO MOSKWY - ZE 115 KRAJÓW
- ▼ MIN. SCHEEL W WARSZAWIE

Komunikaty agencyjne donoszą codziennie o toczących się walkach na Bliskim Wschodzie. W chwili, gdy przygotowujemy komentarz do druku, ich największe nasilenie ma miejsce na Półwyspie Synajskim, chociaż i na Wzgórzach Golan trwają intensywne boje. W walkach biorą udział wszystkie konwencjonalne rodzaje broni. Co spowodowało nowy wybuch w starym konflikcie? W oświadczeniu rządu PRL czytamy m. in.: „Taki rozwój wydarzeń jest oczywistym następstwem trwającej od ponad sześciu lat izraelskiej okupacji terytoriów arabskich”. Przez sześć lat Izrael odmawiał wykonania rezolucji Rady Bezpieczeństwa i odrzucał propozycje politycznego rozwiązania problemu. Kraje arabskie, a przede wszystkim Egipt, uporczywie szukały dróg uregulowania konfliktu. Wysunięto dziesiątki propozycji, ale Izrael nie podejmował inicjatyw, dufny w swą siłę militarną. Zamiast gestów pojednawczych - wciąż demonstrował upór, któremu towarzyszyły liczne prowokacje. W tej sytuacji można się było spodziewać, że walka rozgorzeje na nowo. Tylko bowiem wycofanie się z okupowanych terytoriów arabskich może prowadzić do ustabilizowania stosunków i trwałego pokoju.

Na forum ONZ egipski minister Spraw Zagranicznych - Zajāt mówił: „Chcemy jedynie odzyskać terytoria, które Izrael okupuje od 1967 roku. Chcemy odebrać nasze ziemie i sprawić aby Palestyńczycy odzyskali swoje prawa. Nie chcemy niczego więcej...”. Trudno prorokować, jaki będzie dalszy bieg wydarzeń. Podjęto liczne zabiegi dyplomatyczne. W Kairze przebywał, prowadząc rozmowy z prez. Sadatem premier Kosygin. Egipt zaproponował rozejm, jeśli okupant izraelski wycofa się z zagarniętych terenów, oraz wyraził gotowość wzięcia udziału w międzynarodowej konferencji pokojowej. Równocześnie kraje arabskie wywierają nacisk na Stany Zjednoczone - przez solidarną decyzję o podwyższeniu cen ropy i stopniowym zmniejszeniu jej dostaw - aby zaniechały wspierania izraelskiej polityki i zaangażowały się w pokojowe rozwiązanie konfliktu. W Izraelu natomiast panuje duża nerwowość z powodu ogromu strat, nieporównanie wyższych niż po stronie arabskiej. Zadaje to cios polityce, którą oparto bez reszty na siłę militarną i wierze w jej przewagę nad siłą przeciwnika. Ten brak alternatywy teraz mści się i - kto wie - czy nie wywoła wewnętrznych reperkusji.

bezpieczeństwa, walki z kolonializmem, omówi problematykę współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej. Podejmię więc tematy, które na obecnym etapie rozwoju stosunków międzynarodowych są najważniejsze. Na innym światowym forum - sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ toczy się tymczasem dyskusja nad radziecką propozycją redukcji budżetów wojskowych. W pełni wspierając inicjatywę ZSRR - przedstawiciel Polski stwierdził, iż uzyskane na tej drodze środki, przeznaczone na pomoc dla krajów rozwijających się byłoby czterokrotnie wyższe, niż te, które na ten cel przeznacza się obecnie w ramach systemu ONZ. Radziecka propozycja ma więc dwa walory: redukuje zbrojenia i otwiera możliwość zwiększenia pomocy, krajom gospodarczo nierozwiniętym. Na łamach naszych dzienników wiele uwagi w minionym tygodniu poświęcono również wycisze ministra Spraw Zagranicznych NRF - Scheela w Warszawie. Ponad rok temu Polska i NRF nawiązały stosunki dyplomatyczne. Rozpoczął się proces normalizacji, któremu podstawy dał układ z grudnia 1970 r. Jednak proces ten przebiegał z pewnymi zahamowaniami, w naszych wzajemnych stosunkach nie powstała jeszcze nowa jakość pokojowego współistnienia. Dlatego niezbędny jest dalszy dialog. O celach warszawskich rozmów tak mówił na spotkaniu w Jabłonie min. S. Olszowski: „W oparciu o dotychczasowe doświadczenia pragniemy podczas obecnych rozmów podjąć rozwiązania istniejących jeszcze problemów, by usunąć je z drogi wiodącej ku przyszłości. Uważamy, że kierując się dobrą wolą, realizmem politycznym i konstruktywnym podejściem, uda się nam to osiągnąć i tym samym wnieść nasz wspólny wkład do poprawy klimatu na naszym kontynencie”. Dlatego też wizyta min. Scheela w stolicy naszego kraju wzbudziła zainteresowanie w Europie.

W. SŁAWSKI



ODCZŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

Niedawno powrócił do Polski bezcenny zabytek, tzw. Kodeks Supraski, zagrabiony przez okupanta podczas ostatniej wojny. Ten starosłowiański rękopis oceniony został przez znawców na niebagatelną sumę trzystu tysięcy dolarów.

Sensacyjną wiadomość o odzyskaniu Kodeksu przekazał uczestnikom VII Międzynarodowego Kongresu Sławistów profesor Julian Krzyżanowski.

Pierwszy Kongres odbył się w Pradze w 1929 r., drugi — w 1934 r. w Warszawie. Siódmy ponownie — po bez mała czterdziestu latach — w stolicy naszego kraju.

Przyjechało, wraz z osobami towarzyszącymi, niemal trzy tysiące uczestników z 27 krajów, podczas gdy w najśmielszych planach liczone na przybycie dwóch tysięcy. Ta liczna armia naukowców z całego świata została podzielona na pięć sekcji, które z kolei uległy

grupacyjnym. Wygłoszono je na posiedzeniu plenarnym z uwagi na doniosłe znaczenie zawartej w nich problematyki. Na pierwszy plan wysunęły się problemy romantyzmu. Mówił o nich prof. Julian Krzyżanowski. Mówił o rozwoju sławistyki w Polsce międzywojennej i Polsce Ludowej, opowiedział o fundamentalnych pracach polonistycznych zagranicznych naukowców, zwłaszcza radzieckich i czechosłowackich. Zakończył zaś prelekcję

przedstawił obecnym stan badań nad niezwykle ciekawym i złożonym zagadnieniem pochodzenia języków słowiańskich oraz wysunął pewne propozycje metodologiczne dla dalszych studiów w tym kierunku.

Ostatnim prelegentem był prof. Roman Jakobson. Znakomity uczony amerykański pochodzenia rosyjskiego, znawca wielu nauk filologicznych, scharakteryzował niektóre wspólne cechy językowe poezji słowiańskiej, ujmując ją jako całość. Takie traktowanie zagadnienia pozwala teoretycznie uzasadnić, że dokonanie pełnowartościowego tłumaczenia w obrębie poezji narodów słowiańskich jest rzeczą bez porównania realniejszą niż podobne tłumaczenie z języka słowiańskiego na niesłowiański. Siedemdziesięcioletni profesor mówił ze swadą, pięknym, z lekką starosłowiańskim językiem rosyjskim, z tak młodzieńczą werwą, że mimo woli nasuwała się myśl o młodym naukowcu „Romku Jakobsonie” — jak nazywał go niemal przed 60 laty Włodzimierz Majakowski.

Przedstawiciele wczesnej epoki romantyzmu zdawali sobie sprawę z trudności we wzajemnym porozumiewaniu się ludzi. Znajdowało to wyrazne i obdźwięk ich twórczości i upartym dążeniu do przezwyciężenia tej, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, alienacji i dezintegracji. To było przyczyną ogromnej, eksperymentatorskiej, mającej charakter wręcz naukowy pracy ówczesnych twórców nad doskonałymi formami języka jako środka porozumienia, która doprowadziła z czasem do utworzenia odrębnych, specjalistycznych dziedzin lingwistyki.

W obradach zjazdu uczestniczyli również pracownicy Uniwersytetu Łódzkiego. Prof. Stefania Skwarczyńska mówiła o polskim dramacie narodowym Stanisława Wyspiańskiego, a doc. Teresa Cieślowska o „Palubie” Karola Irzykowskiego jako utworze, który zapoczątkował gatunek powieści warsztatowej. Profesorowie Karol Deina i Witold Smiech poruszyli pewne podstawowe zagadnienia z dziedziny dialektologii i gramatyki współczesnego języka polskiego — zasady metodologii wyróżniania dialektów oraz problem wielokrotności czasowników niedokonanych wynikającej z kontekstu lub wyznaczonej przez pewne

Po wystąpieniu Wiktora Weintrauba sala do połowy opustoszała. Cóż, „teatr intelektualny”, w którym frekwencja zależy od aktora-prelegenta. A szkoda, bo i następne referaty były przeważnie ciekawe i piękne, zwłaszcza — co stwierdzam z zadowoleniem — naukowców polskich: Z. Stefanowskiej „O dantejskości III części „Dziadów” i A. Kowalczykowej „Bohater szalony w polskiej literaturze romantycznej”. Prof. K. Kujew z Sofii mówił o popularności Karola Irzykowskiego jako „Konrada Wallenroda”, a szczególnie ballada „Alpuhara”.

Z ogromnym zainteresowaniem wysłuchano referatu prof. Jurija Lewina z Leningradu. Jego referat stał się rewelacją zjazdu gdyż autor dokonał sensacyjnego odkrycia badając rękopis najwcześniejszego tłumaczenia IV części „Dziadów” na język rosyjski. Przekład tego dokonał MICHAŁ

Powstaje pytanie, dotyczące wiarygodności owego fragmentu w tekście Wrónczenki. Odpowiedź jest, jak się zdaje, jednoznaczna. Przypomnijmy więc, że w swej twórczości przekładowej poeta rosyjski dążył do jak największej zgodności z oryginałem, nie wprowadzając do tekstu prawie niczego „od siebie”. Prócz tego istnieje jeszcze dowód inny, bardziej ważki. Otóż o owym nieznanym fragmencie wspomina — nie cytując go, z wyjątkiem pierwszego wersu — Jan Czeczot w jednym z listów do Adama Mickiewicza. Tłumaczenie Wrónczenki jest w chwili obecnej jedynym źródłem, na podstawie którego można ustalić ostatecznie i treść fragmentu usuniętego z IV części „Dziadów”. Na tym polega jego główne znaczenie i wartość.

Należy również zwrócić uwagę na inny, teoretyczny aspekt zagadnienia — na próbę fragmentarycznej, a czasem nawet całościowej rekonstrukcji nie zachowanego dzieła oryginalnego na podstawie jego przekładu. Pamiętajmy np. utwory przypisywane Lermontowowi, a znane tylko z tłumaczeń Fryderyka Bodenstedta, czy obszerny wiersz Tadeusza Bułgaryna zachowany jedynie w tłumaczeniu Kondratia Ryliewa. Wiąże się to z takimi problemami, jak translatorские звичаје, narzucające przez epokę, w której tworzy tłumacz (dążenie do ścisłości lub też swobody przekładu), indywidualna metoda twórcza przekładowca itp.

Chciałbym jeszcze na zakończenie poruszyć sprawę dość delikatną, a mianowicie postawić pytanie, czy wszystkie wystąpienia na obradach Kongresu stały na odpowiednim poziomie? Zdarzały się i słabe, co jest zrozumiałe i chyba nieuniknione przy tak dużej liczbie referentów i dyskutantów. Wielu prelegentów narzekało — co podniósł prof. W. Kuleszow — na ostre ograniczenia czasowe. Na zjeździe w Moskwie prelegenci mieli na wygłoszenie referatu pół godziny, na kongresie w Pradze, przed pięć laty — 20 minut, tu natomiast, w Warszawie — zaledwie 15 minut. Prof. Kuleszow zwrócił się do przewodniczącego posiedzenia z prośbą, aby w przyszłości ograniczać nie czas trwania referatów, lecz ich liczbę.

Światowe spotkanie na szczycie Warszawa 1973 długo pozostanie w pamięci jego uczestników. Oby kongres następny, który ma się odbyć za pięć lat w Jugosławii, wypadł nie gorzej niż warszawski.

„TEATR INTELEKTUALNY”

podziałowi na 26 komisji i podkomisji. Wygłoszono ponad 900 referatów i komunikatów, dwa i pół tysiąca osób zabrało głos w dyskusji, a wszystkie prelekcje i obrady odbywały się w 23 różnych salach, od Kongresowej w Pałacu Kultury i Nauki, poprzez Pałac Staszica do audytoriów uniwersyteckich na Krakowskim Przedmieściu. Jest więc oczywiste, że nie można było we wszystkich uczestniczyć ani wszystkiego wysłuchać. Sorawa wyboru stała się najważniejszą.

Prace Kongresu zainaugurowane zostały 21 sierpnia. Serdeczna, integrująca atmosfera, jaka zapanowała w pierwszych dniach Kongresu, nie opuściła go do końca. W wystąpieniach, dyskusjach, w kontaktach osobistych podkreślano nie to, co dzieli ludzi i narody, lecz co je łączy. To stanowiło o niewątpliwym i niebagatelnym znaczeniu zjazdu. Pod tym względem był on całkowitym przeciwieństwem podobnych konferencji odbywających się na Zachodzie — zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie — eksponujących skłócenie i dezintegrację ludności świata.

W pierwszym dniu Kongresu wszyscy uczestnicy mogli wysłuchać w ośmiu nie trzech referatów inau-

wiomością wręcz sensacyjną. Otóż podczas ostatniej wojny światowej zagrabiony został przez okupanta i wywieziony z Polski nadzwyczaj cenny zabytek starosłowiański, znany jako Kodeks Supraski od nazwy starej cerkwi w Supraślu koło Białegostoku, gdzie w r. 1823 kodeks ów odkryto.

Cerkiew Supraska 23 lipca 1944 r. została przez Niemców wysadzona w powietrze. Z ruin zdołano uratować fragmenty wspaniałych malowideł ściennych, które po wojnie poddano licznym zabiegom konserwatorskim. Słynne freski z Supraśla eksponowano na kilku wystawach, po raz ostatni w białostockim muzeum podczas tegorocznych dożynek.

Niedawno, dzięki akcji wszczętej przez profesora Uniwersytetu Harvardzkiego, Wiktora Weintrauba, Kodeks Supraski został odnaleziony za oceanem, zakubiony przez obywatela amerykańskiego i przekazany w darze Bibliotece Narodowej. Tak więc w sposób niemal cudowny, po prawie trzydziestu latach powrócił do Polski bezcenny zabytek kultury Słowian. Bezcenny dla nas — ale przez znawców został wyceniony na trzysta tysięcy dolarów.

Następny referat wygłosił znany językoznawca radziecki, prof. Fiedot Filin, który

Wygłoszono też kilka innych bardzo ciekawych referatów już na zebraniach sekcji. Prof. Kazimierz Wyka mówił na przykład o swoistym charakterze romantyzmu polskiego, podkreślając jego znaczenie nie tylko dla literatury, lecz także dla muzyki, malarstwa i innych dziedzin sztuki, a więc dla całej naszej kultury. Wybitny komparatysta, Michał Aleksiejew, członek Akademii Nauk ZSRR, przedstawił swój pogląd na sprawę niesłychanie ważną i aktualną w okresie poszerzania i pogłębiania kontaktów w obrębie wspólnoty słowiańskiej — na metodologiczne opracowywanie historii poszczególnych literatur słowiańskich dla czytelników z innego kraju słowiańskiego. (Do takich dzieł należy obszerna „Literatura rosyjska”, wydana u nas pod redakcją prof. Marii na Jakóba, oraz znana i ceniona „Historia literatury polskiej” moskiewskiego naukowca, Heleny Cviienko). Z kolei P. Zarew opowiedział o bułgarskich badaniach nad psychologia narodu (entypochologia), mających ogromne znaczenie dla studiów w dziedzinie literatur słowiańskich.

Z pozostałych referatów na szczególną uwagę zasługują dwa: Angliek — M. Patridge i Polki — Maril Janion. Prof. Maria Janion mówiła o romantyzmie polskim wśród romantyzmów europejskich. Natomiast M. Patridge poruszyła problem porozumiewania się poprzez twórczość słowiańskich i niesłowiańskich pisarzy w dobie romantyzmu. Wyowiedź angielskiej uczonki, oparta na rzetelnej znajomości literatury rosyjskiej i angielskiej XVIII i XIX wieku, pozwoliła słuchaczom jasnie zrozumieć, dlaczego romantyzm jest wciąż aktualny zarówno u nas, w Polsce, jak i daleko poza jej granicami.

przedrostki. Wystąpienia łódzkich naukowców wysłuchane z dużym zainteresowaniem, pobudziły żywą dyskusję.

Przechodząc do nieco dokładniejszego omówienia spraw, jakie działy się w dniach następnych, chciałbym zacząć od małej dygresji. Otóż prof. Wyka nazwał Kongres „swoistym teatrem intelektualnym”, uzasadniając to określenie frekwencją na referatach.

Wiktor Weintraub, przy wypełnionej po brzegi sali, mówił o wzajemnych stosunkach Mickiewicza, Micheleta i Quineta w okresie, kiedy nasz wieszek prowadził wykłady w Collège de France.

„Problemami tymi właściwie nie się nie zajmowałem” — pisał Kazimierz Wyka w „Kulturze” — „Jakie były różnice między nimi? Jak Mickiewicz oddziaływał na pewne postawy profesorskie Micheleta? Kim właściwie był Quinet, stary weteran, zupełnie odmienny od Mickiewicza i Micheleta? Prof. Weintraub jako pierwszy zdiagnozował te trzy postawy ze wspólną płaską brzową, na jakiej są umieszczeni w Collège de France i zaczął rozpatrywać oddziaływanie i okazyje, że oddziaływanie Mickiewicza na profesorski charakter wystąpienia Micheleta i Quineta było ogromne. On właściwie nadawał im ton i to nie tylko ideologiczny. Wszystko to było zupełnie nowe, nawet dla naszych badaczy romantyzmu i znawców Mickiewicza”.

ALEKSANDER GORCZYCKI

Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało studium dr Adama Wędrychowicza pt. „Życie kulturalne nauczycieli”, w którym autor przedstawił wyniki swych wieloletnich badań nad środowiskiem nauczycieli języka polskiego łódzkich szkół podstawowych. Ciekawa to i pożyteczna praca, szczególnie w chwili obecnej, w dobie zarówno dyskusji jak i zasadniczych zmian naszego systemu oświatowego. Potrzeba takiej pracy wynika również z faktu, że o zawodzie nauczycielskim nie ma zbyt wiele informacji i kompleksowych opracowań, na co zwrócił uwagę Komitet Ekspertów, składający raport o stanie oświaty.

podstawowa decyduje o poziomie kulturalnym najszerszych mas, o przygotowaniu do uczestnictwa w kulturze, jest sprawą niezmiernie ważną, aby sam nauczyciel miał jak najszerszy dostęp do kultury, by jak najlepiej spełniał swą rolę kulturodawcy.

Zainteresowanie autora różnymi aspektami życia kulturalnego łódzkich nauczycieli sięga lat pięćdziesiątych, a więc jest to okres dostatecznie długi, by w pełni poznać omawianą problematykę. Przedstawmy więc najciekawsze ustalenia autora, pomni, że życie idzie

było przypuszczać, że w środowisku nauczycielskim sytuacja jest lepsza niż w innych. Nasza kultura jest przede wszystkim kulturą literacką, a więc praktyczna nieobecność książki w tym środowisku, poważnie degradowała rangę kulturotwórczą nauczycieli.

Czytelnictwo periodyków, czasopism i prasy. Najlepiej pod tym względem przedstawia się czytelnictwo prasy pedagogicznej. W ogóle czytelnictwo prasy przedstawia się bez porównania lepiej niż książek (za wskaźnik aktyw-

ŻYCIE KULTURALNE NAUCZYCIELI

Praca A. Wędrychowicza ma także pewne zrozumiałe ograniczenia. Od czasu podjęcia badań i opracowania studium, w życiu naszego kraju nastąpiły doniosłe zmiany, a szczególnie w środowisku nauczycielskim ukazał się przecież tak ważny dokument jak „Karta praw i obowiązków nauczyciela”, zmieniający ze znaczną korzyścią sytuację materialną nauczycieli, co niewątpliwie wpłynęło na receptę kulturalną środowiska. Przypnie do sam autor: również prof. dr Antonia Kłosowska zwraca uwagę na ten fakt w przedmowie do studium nie kwestionując jednak aktualnej wartości pracy:

„Chociaż pewne elementy sytuacji materialnej nauczycieli uległy pozytywnej zmianie, obraz całości nie przekształcił się od razu radykalnie, toteż studium zachowa swą wartość informacyjną przez czas dłuższy”.

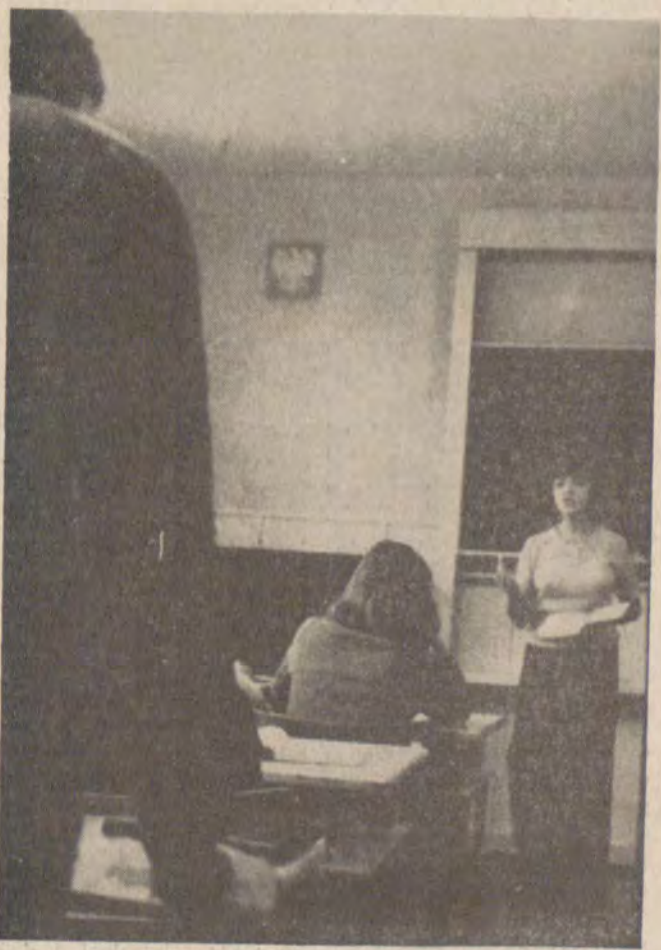
Uznając słusznie pracę zawodową nauczyciela za pracę kulturalną (jak pisarza, aktora, bibliotekarza), autor podjął badania od strony odbioru kultury przez nauczycieli, zastanawiając się w jaki sposób i z czego nauczyciel buduje swe doświadczenie kulturalne. Jakimi kryteriami wyboru kieruje się jako konsument kultury, jakie są jego potrzeby i aspiracje. Zakładając, że szkoła

naprzód i sytuacja w między czasie na pewno uległa znacznej poprawie.

Czytelnictwo książek. Autor wyróżnił 3 grupy pod względem aktywności czytelniczej: najwyższe 5-8 przeczytanych książek w roku (i więcej) — 30,4 proc., respondentów, średnie 1-4 książki t.j. ok. 47 proc. Nie wnikając dalej w zależności poziomu czytelnictwa od poziomu wykształcenia czy aktywności czytelniczej, zależnej od typu lektury (elementarnej, popularnej, klasycznej, elitarny), trzeba stwierdzić, że są to dane mogące wprawić w stan osłupienia. Z czytelnictwem książek w ogóle od lat nie jest najlepiej, ale można

ność przyjęto ilość tytułów czytanych przez jednego respondentą. Przynajmniej jeden miesięcznik był czytany przez prawie 98 proc. badanych, co najmniej dwa — przez 32 proc. co najmniej 3 — przez ok. 9 proc. Analogicznie tygodniki: jeden przez 94 proc. badanych, dwa tygodniki przez 68 proc., trzy przez 43 proc., cztery przez ok. 17 proc. Wśród czasopism będących lekturą nauczycieli zdecydowanie przeważają czasopisma dostarczające pośrednio bądź bezpośrednio wiedzę potrzebną w pracy zawodowej.

(Dalszy ciąg na str. 7)



Fot. W. Parys



Fot. W. Parys

W historii, którą tu przytoczę, bohaterami są wartownicy. Historia jest jednak kryminalna, z faktów opisanych na stu kilkunastu stronach aktu oskarżenia wynika niezbicie, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy sprzeniewierzyli się godności wartownika, stawiając między tą funkcją a złodziejstwem znak równości.

Pracowali w Zakładach Wytórczych Maszyn Elektrycznych i Transformatörów „Emit” w Zychlinie. Są to zakłady, które do swej produkcji, tak ważnej dla gospodarki narodowej, zużywają duże ilości specjalnej blachy elektrotechnicznej (dynamowej, prądnicowej, transformatorowej). Jest to bardzo drogi surowiec (sprowadzany z zagranicy), podobnie jak drut miedziany różnych rodzajów, zwany nawojowym. Nie są to jedyne surowce, ale pozostałe będzie okazja

dy sprzedaży podając ilość i wartość materiału. Te dowody stanowiły jedyną podstawę do wywiezienia lub wyniesienia z zakładów zakupionych materiałów. Pracownicy STRAŻY PRZEMYSŁOWEJ sprawdzali zgodność dokumentu z ilością towaru, stemplowali, a kopię dowodu zwracali do rewidenta — inwentaryzatora. Kierownictwo zakładów powołało komisję — z udziałem dowódcy warty

dozoru — udział większej ilości osób był niezbędny: potrzebowano transportu i paserów.

Do spółki przystąpił... kierowcy z PKS, oddział w Kutnie. Ładowanie i przewożenie należało do ich obowiązków, z których wywiązywali się tak znakomicie, że dostawali nie tylko swój udział w gotówce, lecz dostępowali także lask uczestnictwa w libacjach alkoholowych, którymi fetowano każdą kradzież.

Gang rozwijał się. Przystąpiło do niego kilku pracowników oklejarni. Za odpowiednią opłatą wydawali blachę z powierzonych im pieczeni działu. Pomieszczenia oklejarni były zamykane i plombowane w dni wolne od pracy. Strażnicy mieli na portierni klucze i plombownice pod swoim nadzorem. Włamywali się więc do oklejarni i przez nikogo nie zagrożeni kradli blachę. Zorganizowano dwa stałe pun-

pracy tak poważnego zakładu?

Na to pytanie odpowiada prokurator, który — niech mi będzie wolno użyć tego porównania — niby Reymont napisał powieść, podzieloną na kilkadziesiąt rozdziałów, tytułowanych porami roku. Każdy oskarżony ma swój rozdział, a w nim rubryki: lato, zima, jesień i wiosna i specyfikacje dokonanych kradzieży.

Prokurator stwierdza: dokonywanie zorganizowanych kradzieży dużych ilości surowców i materiałów w stosunkowo długim okresie i przez liczny krąg osób możliwe było m. in. na skutek wielu nieprawidłowości i niedociągnięć, które wystąpiły w przedsiębiorstwie.

Wymienia: brak należytej kontroli ze strony kierownictwa zakładu nad pracą straży przemysłowej i brak troski o zabezpieczenie mienia zakładu.

Następnie: nieprecyzyjne ustalanie norm zużycia podstawowych surowców, brak

„WARTOWNICY”

wymienić w dalszym ciągu tej niezwykle ponurej historii. Jej geneza tkwi w dziwnych okolicznościach, które nazwałabym kombinacją lekkomyślności z niedbalstwem, chociaż ku temu sprzyjały warunki... obiektywne. Cóż się bowiem okazuje? Do produkcji mogły być używane jedynie surowce o pełnej jakości. W „Emitcie” surowce traciły jakość. Od lat trwały tam trudności w zapewnieniu odpowiednich warunków magazynowania surowców i zapasy „psuły się” jak żywność w prymitywnej spiżarni. Zgodnie z odpowiednimi zarządzeniami i uchwałami, których symboli nie będę przytaczać — zakłady mogły sprzedawać niepełnowartościowy surowiec oraz inne materiały zakwalifikowane przez zakładową komisję jako „odpadowe” lub „złomowe”. Poczucie gospodarności i oszczędności materiałowej burzy się wobec zestawienia tych faktów, ale znacznie później zwrócono uwagę na gospodarkę materiałową, narzucając jej rygor z urzędu, co postawiło tamę marnotrawstwu pleniącemu się powszechnie. Nim to jednak nastąpiło...

„Emit” sprzedawał niepełnowartościowe surowce, a ubiegaly się o nie różne osoby. Podania opiniowała Rada Zakładowa lub Prezydent MRN, akceptował zastępca dyrektora do spraw administracyjno-handlowych. Dział Zaopatrzenia zakładów wystawiał dowo-

strazy przemysłowej, zastępcy kierownika zespołu magazynów i przedstawiciela rady zakładowej do kontrolowania „na bramie” wywożonych materiałów. I... zdarzyło się, że w styczniu 1970 roku ówczesny komendant straży przemysłowej pozwolił wywieźć większą ilość blachy i to dobrej jakości. Nabywca sprzedał blachę okolicznym rolnikom, podzielił się zyskiem z komendantem, „przypieczetowano” udane złodziejstwo alkoholową libacją i tak zaczęła się mała spółka, z której rozwinęła się wielka afery gospodarza.

Komendant następnie umożliwił wywiezienie blachy dla rodziny podległego mu wartownika i znowu wpadło kilkaset złotych do kieszeni, a nic złego dla współników nie wynikło. Latwość pierwszych kradzieży ośmieliła, a potrzeby — o! jakże ważne — domagały się zaspokajania!... Członków straży przemysłowej nękało nieustające pragnienie alkoholowe. Pijaństwo należało do programu życiowo-służbowego. Piło się w pracy, piło się poza pracą. Piędzy na wódkę brakowało, a za darmo nikt nie dawał ognistej wody. Jednakże zamilowanie wartowników do alkoholu zjednoczyło ich w przestępczym procederze. Krag złodziei poszerzył się, a w miarę rozwijania drugiego nurtu życia członków

przechowywania kradzionych materiałów, a ich asortyment powiększył się znacznie. Gang kradł już także cynę, farby i lakiery, silniki, przewody elektryczne i drut miedziany.

Wyszukiwano nabywców, a tych nie brakowało: rolnicy, rzemieślnicy, właściciele zakładów elektrotechnicznych...

Aż wreszcie... 7 września 1972 r. zginęły 3 szpule nawojowego drutu miedzianego. Zameldowano o kradzieży. Komenda MO w Kutnie wszczęła dochodzenie. Wkrótce przejęła je Komenda Wojewódzka MO pod nadzorem Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi. W ciągu kilku tygodni ujawniono rzeczy niesamowite. Aresztowano kilkadziesiąt osób. Wyodrębniono kilka grup przestępczych. Do pierwszej, która jest już objęta aktem oskarżenia, należeli przede wszystkim wartownicy (sześciu wraz z komendantem), pracownik magazynu, kierowcy, taksówkarz, rolnicy, rzemieślnik. Ponadto działały dwie inne grupy. Jedną składała się z pracowników obsługi zakładowej lokomotywy, drugą rekrutowała się z działu głównego mechanika.

Kradzieże szły w dziesiątki. „Emit” poniósł straty w wysokości około 780 tysięcy złotych...

Nikt niczego nie zauważył? Nikt nie domyślał się? Jak to było możliwe, żeby organizacja złodziejska zaplanowała nad organizacją

zdecydowanej reakcji na sygnały dotyczące łamania dyscypliny pracy (np. libacje alkoholowe w czasie pracy).

I wreszcie najważniejsze: brak właściwej reakcji ze strony pewnych pracowników, którzy — jakkolwiek nie brali udziału w przestępstwach — to jednak mieli jakąś orientację. W każdym razie, gdyby przekazali kierownictwu zakładu informacje, które posiadali, to kierownictwo mogłoby przeciąć przestępczą robotę.

Po zakończeniu wszystkich dochodzeń prokuratura będzie miała wyraźny pogląd na winę nie tylko oskarżonych osobników, lecz na przyczyny, które stworzyły warunki do powstania gangu i jego systematycznego, postępującego działania. Sporządzone zostaną wystąpienia do jednostki nadrzędnej „Emitu”, by wskazać niebezpieczeństwo grożące innym zakładom. Prokuratorska praca dochodzeniowa ma także aspekt zapobiegawczy, nie można jednak uznać za prawidłowość faktu — podkreślając cenną rolę prokuratury — że dopiero jej wystąpienia wyzwalają inicjatywę władz jednostek gospodarczych w kierunku uświadomienia sobie pełni obowiązków i odpowiedzialności.

ZOFIA TARNOWSKA

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI Polak pod namiotem

Polaków spotyka się na campingach Europy często. Część z nich wprawdzie gustuje w urokach życia pod płachtą namiotową, ale głównym motywem kierującym naszych rodaków na campingi są skromne środki finansowe, jakimi z reguły dysponują. Sprowadzają się one często wyłącznie do kwoty 110 dolarów USA na głowę. Komuś operującemu przeliczeniami czarnorinkowymi — a więc

buchalterowi księżycowemu — może się wydawać, że to duża suma. Jednak jej konfrontacja z aktualnymi cenami artykułów spożywczych i przemysłowych w wysoko rozwiniętych krajach zachodnioeuropejskich wypada żałośnie.

Zapamiętałem na przykład, że w kawiarence domu towarowego Hertie w Monachium, a więc w lokalu raczej taniego typu, za małą kawę, szklankę wody mineralnej i dwie szklanki coca-coli zapłaciłem 2 dolary. 10 dkg szynki w samoobsługowym markecie w

Austrii, Szwajcarii, czy NRF kosztuje prawie dolara, smażony hamburger — więcej niż pół dolara, a buleczek za dolara otrzyma się siedem. Skromny hotelik, a raczej zajazd, musi kosztować ok. 4 dolarów od osoby; za śniadanie dolicza się extra.

Te rzuczone wyrywkowo parcen świadczą o tym, że spędzenie urlopu w podróży po krajach kapitalistycznych i pomieszczenie się przy tym w limicie 110-dolarowym wymaga nie lada ekwilibrystyki. Byłoby to zgola niemożliwe, gdyby nie własne zapasy żywnościowe (nieśmiertelne konserwy!) przywożone ze sobą z kraju i gdyby nie campingi.

Są wydatki, których turysta nie może uniknąć. A więc przede wszystkim kosztu ben-

zyny i oleju silnikowego. Poważną pozycję w skromnym budżecie turystycznym stanowią wejściówki do muzeów i innych obiektów godnych zwiedzenia. Muzeum Watykańskie bierze za wstęp po 500 lirów (prawie 1 dolar) od osoby. Wejściówka do katakumb św. Kaliksta przy Via Appia Antica kosztuje pół dolara, do Palacu Dożów w Wenecji — tyleż...

Do tego dochodzą opłaty za parkowanie samochodu, których zwłaszcza we Włoszech trudno jest uniknąć. Wszystkie miejsca nadające się do parkowania w otoczeniu najciekawszych zabytków są płatne w granicach od 100 do 500 lirów. A czy można odmówić sobie przejazdu vaporettem, czyli stateczkiem-tramwajem do placu św. Marka w Wenecji, albo kolejką linową do zbudowanego na pionowej skale San Marino? Albo wreszcie jak tu nie wznieść się na wysokość 65 metrów cieszenną w wiedeńskim Praterze?

W Italii dochodzą ponadto opłaty za korzystanie z autostrad. Można ich wprawdzie

uniknąć, jeżdżąc bocznymi, zatłoczonymi szosami, ale wówczas podróż może się przedłużyć w stopniu nie oczekiwanym.

Nie mówię już o drobniejszych pokusach czyhających na kieszeń turysty, zwłaszcza gdy wiezie ze sobą dzieci. Więc napoje chłodzące, więc lody (znakomite włoskie gelato!), więc barwne widokówki i slidy, więc inne drobne pamiątki... Doprawdy, nie jesteśmy z kamienia! Nawiedzają nas różne słabości, którym nie zawsze potrafimy się oprzeć.

Słowem wywieziona z kraju skromna sumka dewizowa kurczy się i topnieje szybko. Człowiek patrzy na to z troską, a później z rosnącym przestraszonym, a przecież nie jest w stanie skutecznie zahamować tego procesu. Pozostaje modlić się w duchu do wszystkich świętych (jeśli ktoś wierzy w skuteczność tej metody), żeby nie wyskoczył nagle jakiś duży nie przewidziany wydatek,

(Dalszy ciąg na str. 9)





OSACZONY

W bardzo starannej, pięknej oprawie, z quasi-komiksową obwolutą PIW wydał przeszło 400-stronicową powieść rumuńskiego pisarza Petru Popescu, pt. „Osaczony”. Wydawca zapowiada autora (ur. w r. 1944 — tak! jako prozaika, poe, eseiste, tłumacza literatury anglosaskich. Młody autor podjął temat iście szekspirowski. Bohater

powieści, inżynier, zwany cały czas „Inżynierem”, bo występuje bez imienia i nazwiska, dowiaduje się, że jest nieuleczalnie chory. Odchodzi więc z pracy, podejmuje oszczędności L., zaczyna się nieustannie ciąć dywagacji o śmierci. Nic z tego, że zmieniają się miejscowości (Bukareszt, Constanca, Istria), dziewczyny i lokale, środowiska... I mimo wielu trafnych obserwacji psychologiczno-obywatelskich, ładnych, poetyckich opisów rumuńskiego pejzażu, cały czas nudzimy się potwornie. Bo najgorzej, że całe to „zarządzenie śmierci” jest płytkie, autorska filozofia tonie w pozornych głębiach, ginie w banale. Szkoda tego całego wysiłku.

Szkoda też, że PIW, zasłużony wydawca, tak lekkomyślnie włączył tę książkę do poważnej i udanej w sumie serii „Współczesna literatura światowa”. Czyżby — nasuwa się pytanie — w cenie, współczesnej literaturze rumuńskiej — nie było pozycji autentycznie wartościowej? Petru Popescu to na pewno pisarz utalentowany, z przyszłością, ale parafrazując odpowiedź redakcji: Na tłumaczenie jeszcze za wcześnie!

(Jar)

Petru Popescu, „Osaczony”, PIW 1973, str. 432, cena 30 zł.

POWRÓT Z CARSKIEGO SIOŁA

Władysław Terlecki, (ur. 1933 r.), prozai, eseista, tłumacz literatury czeskiej, jeden z czołowych przedstawicieli pokolenia „Współczesności” wydał kilka powieści i tomów opowiadań (m.in. „Pożar”, „Sezon w pełni”, „Gwiazda Piotruś”), które mimo wysokiej oceny krytyki nie przyniosły mu szerzej popularności czytelniczej. Dopiero tryptyk historyczny: „Spisek”, „Dwie głowy ptaka” (książka niedawno wznowiona) i „Powrót z Carskiego Sioła” uczyniły go pisarzem nie tylko uznanym, ale i znanym.

Jest to sukces w pełni zasłużony. Władysław Terlecki jest pisarzem, który w udany sposób potrafił połączyć swój talent literacki z wiedzą o przedmiocie (data trzydzieste — siedemdziesiąte ub. wieku), z pełną świadomością historyczną i świadomością celu, jaki chce osiągnąć.

„Powrót z Carskiego Sioła” (jak i cały tryptyk) to wzorowy i optymistyczny przykład udziału literatury w kształtowaniu wyobraźni narodowej. Wzór możliwości, które zdawałyby się dawno zostały pogrzebane. Bohaterem „Powrotu z Carskiego Sioła” nie jest kontrowersyjna postać margrabiego Wielopolskiego, ani operetkowy „król z Krakowskiego Przedmieścia”, Andrzej Zamojski, lecz gorzkie i bolesne losy naszego narodu w przededniu Powstania Styczniowego.

Autor zwierza się, że ten temat zajął mu blisko dwadzieścia lat życia. Można to skwitować krótko i jednoznacznie: warto o to, panie Władysławie.

(Jar)

Władysław Terlecki „Powrót z Carskiego Sioła”, PIW 1973, str. 211, cena 15 zł.

WĘŻE GROTY

Jerzy Wawrzak, laureat nagród CRZZ oraz Ministra Kultury i Sztuki, z rzadko spotykaną wnikliwością podejmuje w swej prozie problematykę pokoleniową. Nie dziwi więc, że „Węże groty”, nowa jego powieść, podobnie jak wybrane wcześniej książki, ukazuje splątania tej formacji umysłowej w Polsce, której młodość przypadała na lata pięćdziesiąte. Ale, trzeba to od razu zaznaczyć, ukazuje je jednak inaczej niż próby wcześniejsze, choćby poprzez wybór narratora, którym jest tym razem człowiek z racji swego pochodzenia stojący poza nim. Jarosław Tarno, bohater powieści, jest bowiem synem majora „Cienia”, aktywnego działacza politycznego podziemia.

Wiemy doskonale, że taki społeczny rodowód stanowił w latach pięćdziesiątych obciążenie komplikujące drogę życiową już nie tylko w sferze etycznej, ale tej najwęższej, praktycznej. Zatajając pochodzenie, co zresztą nie uchroniło go przed komplikacjami żywymi, Tarno dostaje się na wyższą uczelnię i jako jej absolwent otrzymuje pracę do dalszego działania. Ale teraz właśnie, gdy przeszkody formalne zostały sforsowane, na nowo aktualizują się zagadnienia etyczne. Dlatego właśnie Tarno powraca do rodzinnej miejscowości, aby poszukać konfrontacji z idealami własnymi i swoich rówieśników, wyjaśnić raz jeszcze sprawy nierozstrzygnięte a tylko jakby zawieszane, które domagają się rozwiązania. I w tym sensie jest to powieść obrachunkowa.

Ale równocześnie walor jej polega na tym, że ukazuje pokolenie trzydziestolatków w działaniu, głęboko osadzonych w życiu. Dzięki narratorowi takiemu jak Tarno portret tego pokolenia nabiera ostrzejszych, wyrazistszych konturów. I dlatego właśnie możemy mówić, że ta pozbawiona sentymentalizmu proza Wawrzaka jest w jego twórczości pozycją znaczącą.

K. F.

Jerzy Wawrzak: „Węże groty”, Wydawnictwo Łódzkie 1973, str. 129, cena 10 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

- A. Carpentier — „Podróż do źródeł czasu”, Czytelnik, cena 21 zł.
- A. Hausbrandt — „Rozmowy z ludźmi teatru”, Wydawnictwo Literackie, cena 22 zł.
- B. Kogut — „Rudy Mojżesz”, Wydawnictwo Literackie, cena 15 zł.
- J. J. Szczepański — „Opowiadania dawne i dawniejsze”, Wydawnictwo Literackie, cena 28 zł.
- A. Strugacki, B. Strugacki — „Sprawa zabójstwa”, Iskry, cena 12 zł.
- Z. Żydler-Zborowski — „Pieczęć sarnia”, Czytelnik, cena 17 zł.

IV Ogólnopolski Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych odbył się w Łodzi w dniach 11—13 października. Uczestnictwo w tej imprezie pozwala stwierdzić, iż słowo „przeгляд” jest właściwie dziś już mało adekwatne wobec jej treści. Rodowód imprezy, który sięga roku 1970, miał w istocie charakter pokazu filmów, dla których kryterium podstawowym był społeczno-polityczny temat i zaangażowanie. Zorganizowanemu z inicjatywy łódzkiej instancji partyjnej przeglądowi w latach następnych zaczęła towarzyszyć część seminaryjno-dyskusyjna, która określa istotny sens i społeczną użyteczność samego przeglądu.

Tegoroczny IV Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych stał się potwierdzeniem słuszności inicjatyw i decyzji, które nadały łódzkiej imprezie charakter roboczych, aktywnych dyskusji o celowości, formach i metodach wykorzystania filmów w szeroko rozumianej pracy ideowo-wychowawczej, w codziennej praktyce pracy partyjnej i w szkoleniu aktywów. Wiecej, stał się oczywistym dowodem tego, że powołanie do życia tak określonego przeglądu oraz wyrażane w d. k. opiniach środowisk aktywów partyjnego nauczycieli, wychowawców i działaczy kultury zmobilizowały samą działalność wy-

PIENIA WYNAŁAZCY” Jerzego Ziarnika (WFD). „Znakiem ich było Rodło” Romana Wionczka reprezentuje nurt filmów historycznych. Zrealizowany z okazji 50 rocznicy powstania Związku Polaków w Niemczech, jest niezwykle starannie przygotowaną monografią. Pasjonujące filmowe materiały archiwalne, audialne i ikonograficzne, dokumenty, jasny, zdyscyplinowany komentarz historyczny i emocjonalny ładunek złożyły się na dużą poznawczą wartość tego filmu, będącego jednocześnie poruszającą lekcją patriotyzmu. „Pro memoria” Macieja

EWA NURCZYŃSKA

nurt publicystyki interwencyjnej, w przypadku tego filmu postępującej się ostrą satyrą. Satyra była tu chyba formą najdoskonalszą, zważywszy fakt, że publicystyczne interwencje w rejonie biurokracji to prawie historia biurokracji i historia publicystyki w ogóle. Zawarta w filmie Ziarnika opowieść o pewnym wynalazcy i jego wynalazku, odsłaniając kulisy biurokratycznego irracjonalizmu, wzbudza słuszny i potrzebny obywatelski już gniew i sprzeciw, którego wynikiem stać się powinien racjonalizm działań.

Film „Cierpienia wynalazcy” pokazano w zestawie takich filmów, jak: „SKANSEN” Zbigniewa Raplewskiego i „HAPPY END” Pawła Kędzierskiego. Pewien wspólny ton jest cechą wszystkich tych pozycji — ostra interwencja w obszarze zawodowej indolencji, napiętnowanie postaw braku poczucia odpowiedzialności zarówno za wspólne dobra materialne jak i właściwe funkcjonowanie form współzależności między ludźmi, zwrot w kierunku ratio odbiorcy.

przedzających Lenino i samej bitwy. Bogate filmowe materiały, które mogli dziś jeszcze komentować dowódcy i uczestnicy tamtych zdarzeń, są bezcennym dokumentem naszej historii, zaś film jej żywą lekcją.

Historie ruchu rewolucyjnego reprezentował film Zygmunta Skoniecznego „ROK 1905”. Pora już chyba przejść do przedstawienia wybranych chociażby tylko wniosków z dyskusji seminaryjnych, towarzyszących przeglądowi.

FILMY, NA KTÓRE CZEKAMY

Podkreślano, jak już wcześniej wspominaliśmy, niewątpliwą wartość tak ilości jak i walorów filmów społeczno-politycznych. Dotyczy to zwłaszcza twórczości dokumentalnej — tej poszukującej spraw i ludzi współczesnych. Uznano, że dokument winien z równą pasją odkrywać to, co słuszne i celowe w społecznym działaniu, jak i to, co szkodliwe, że winien odnajdywać ludzi,

NIE TYLKO PRZEGLĄD

twórni filmowych. Przeglądy i towarzyszące im seminaria okazały się niezwykle potrzebne formą wymiany doświadczeń, poleceń, zapotrzebowania między realizatorami a odbiorcami i użytkownikami ich filmów. Uwidoczniły, że istniała potrzeba tej konfrontacji, że inicjatywa łódzkiej instancji partyjnej trafiła niejako w sam środek społecznego zapotrzebowania.

Wzrastają i dynamika życia społecznego, mobilizacja zawodowej i społecznej aktywności jednostek i zespołów ludzkich wszystkich środowisk w masę, by towarzyszyły jej przekonująca i skutecznym motywacje ideowe. Poszukiwania najwłaściwszych form i metod pracy ideowo-wychowawczej i propagandowej zwróciły uwagę między innymi właśnie na film, a łódzki przegląd stał się doroczną okazją konfrontacji potrzeb oraz stanu faktycznego i możliwości.

FILMY, KTÓRE ZAPROPONOWANO

Trwała już tradycja przeglądu jest przyjęty sposób honorowania prezentowanych filmów poprzez plebiscyt uczestników. W tym roku wyróżniono tą drogą następujące pozycje: „ZNAKIEM ICH BYŁO RODŁO” Romana Wionczka (WFO dla TV), „PRO MEMORIA” Macieja Sińskiego (WF — Czołówka), „POJEDNANI MILUJA SIĘ BARDZIEJ” Zygmunta Skoniecznego (WFO) oraz w zestawie specjalnym, nazwanym filmami dyskusyjnymi „CIER-

pienia trudno nazwać wykładem historycznym. Zmontowany z kronik wojennych, poświęcony jest pamięci 620.000 żołnierzy Armii Radzieckiej, poległych na ziemi polskiej na szlakach bojowych II wojny światowej. Dokumentując tragiczny fakt historyczny, nadrzędna koncepcja układu materiałów film ten oddziałuje przede wszystkim emocjonalnie. Przywołując pamięć, przypomina i utrwała nie tylko historyczny sens kamiennych pomników i rozsznycanych po całym kraju grobów, lecz przede wszystkim nadaje im jednostkowy, ludzki, tragiczny wymiar.

Film „Pojednani milują bardziej” Zygmunta Skoniecznego wprowadza we współczesność. Wartość tego filmu tkwi właśnie w jego propagandowych walorach. Film jest reportażem z prac jednej ze Społecznych Komisji Pojednawczych działających na wsi. Jak na dobry reportaż przystało dokumentuje tę pracę, przynosząc przy tym wiele ciekawych socjologicznych obserwacji i mikroportretów współczesnych mieszkańców wsi. Na reportażu rzecz się jednakowoż nie kończy. Trudno o lepszą, mądrzejszą propagandę roli tych komisji. Reżyser wyważył wszystkie elementy, którymi film może potwierdzić społeczny sens ich działalności, a także pozyskać zaufanie tych, którzy z nich po pomoc zwrócili się będą musieli.

„Cierpienia wynalazcy” Jerzego Ziarnika reprezentują

Zestaw ten uzupełniał film „MURARZ” Krzysztofa Kieślowskiego, ukazujący portret warszawskiego murarza, którego opowieść o własnym życiu, drogach wyboru miejsca dla siebie w społeczeństwie budzi szacunek i zmusza do głębszej refleksji.

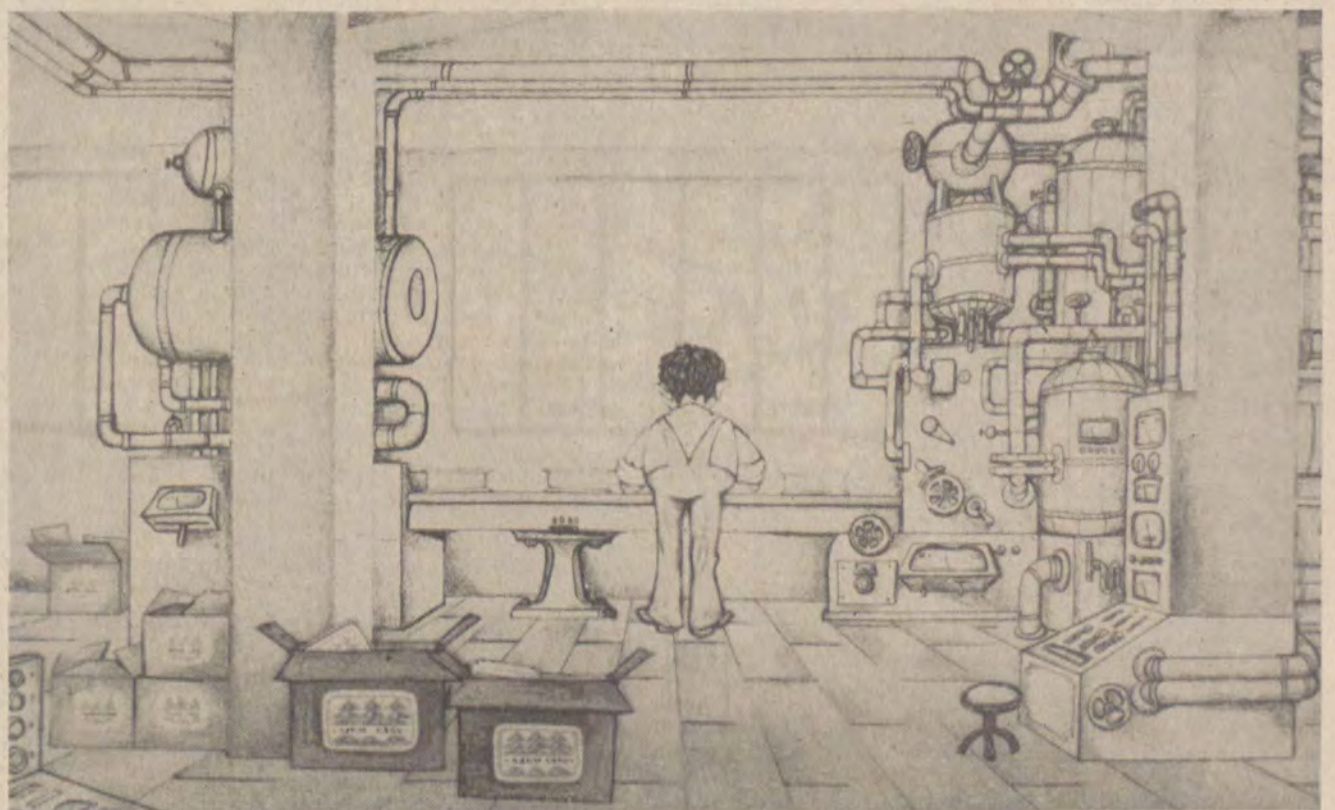
Portret był w ogóle mocną stroną tegorocznego zestawu filmów. Wzorce osobowe, których waleczność tak gwałtownie poszukuje, losy jednostki i jej postawy, poglądy wypowiedziane wprost przez jednego spośród nas — to rzeczy, które w filmie odnajduje się szczególnie chętnie. Portrety naszych współczesnych zawarte były w filmach „BUDO ALEM MIASTO” Bogdana Koscińskiego (Grand Prix Kraków 1973), „WEJŚCIE MIEDZY LUDZI” Danuty Haladim i „GDZIEŚ W LOSICKIM POWIECIE” Janusza Kidawy. Ten ostatni film był niewątpliwie jedną z najciekawszych pozycji przeglądu. Prezentował osobowość i działalność młodego sekretarza partii. Podpatrzenie zarówno zawodowej i partyjnej aktywności bohatera filmu jak i jego osobowości dało portret wnikliwy, niebanalny, budzący sympatię i aprobatę.

Projekcja zrealizowanego w związku z XXX rocznicą powstania Ludowego Wojska Polskiego filmu Leonarda Ordy „IDZIEM DO CIEBIE, ZIEMIO” miała swój szczególnie emocjonalny walor, którego ten piękny film nie straci zapewne i później. Jest to pierwszy tak nasycony dokument o Kościuszkowcach, właściwie monografia dni po-

których postawy mogą służyć za wzorce osobowe i nie szczędzić się ze społecznym po-
tępieniem.

Dwa filmy Janusza Kidawy „DROGAMI CZASU”, film o historii ruchu młodzieżowego w PRL, który nie znalazł uznania w oczach młodych uczestników seminarium oraz film „GDZIEŚ W LOSICKIM POWIECIE”, który podobał się bardzo, ujawniły, że zbyt rzadko jeszcze bohaterem filmu jest młody człowiek, że zbyt mało w filmach polskich spraw i problemów, na które młodzież czeka jak na swoje własne, związane z jej odczuwaniem świata i spraw jej kraju. Warto chyba, by realizatorzy w kierunku tych problemów zwrócili swoją uwagę, młody człowiek jest odbiorcą najważniejszym i najbardziej wymagającym.

Do zespołu spraw, które czekają na realizację, należą na pewno filmy związane zarówno z historią partii i społecznym życiem partii oraz tematyka światopoglądowa i ekonomiczna. Przedstawione na konferencji prasowej plany programowe poszczególnych wytwórni pozwalają mieć nadzieję, że te ostatnie zagadnienia na następnym przeglądzie znajdą już swój filmowy kształt.



Jenny, zaznaczona jest wyraźnie. Uwzględniali tę trasę również architekci polscy, pracujący w Oświęcimiu, w tajemnicy głębokiej, nad planami odbudowy i rozbudowy zniszczonej stolicy. W latach pięćdziesiątych powstaje projekt obwodnicy. Jej odcinek południowy, to Wawelska i Trasa Łazienkowska; zachodni — to Okopowa, Towarowa i Raszyńska; północny — to obecna Trasa Starzyńskiego (ukończona w 1959 roku); wschodni — to będąca wciąż w rysunkach i makietach praska trasa N-S.

19 marca 1968 roku KERM przystąpił już do prac przygotowawczych nad budową trasy, lecz w rok później prace owe zaniechał. Pozostały tylko projekty, makieły, stracony czas i nie wykorzystane możliwości. Przerwanie prac kosztowało. Straty liczyły się w milionach złotych. Dokumentacji, która wtedy powstała, również nie udało się wykorzystać w całości. Są zresztą straty, które można przeliczyć na złotówkę od razu; są inne, które dają znać o sobie po upływie pewnego czasu.

Samo sedno budowy Trasy Łazienkowskiej można przedstawić w sposób następujący: w 1960 roku Warszawa miała prawie 25.000 samochodów i do dyspozycji tylko trzy mosty drożowe. Trzy mosty pozostały nadal. Obecnie samochodów jest blisko 70.000 (nie licząc, oczywiście, ogromnego zwiększenia napływu turystów zmotoryzowanych). W 1975 roku samochodów w Warszawie będzie prawdopodobnie około 120.000; w 1980 roku — ponad 200.000. Równocześnie Warszawa rozbudowuje się w kierunku północnym i południowym, rozkłada się szeroko po obu stronach Wisły, a przecież przy takim układzie urbanistycznym problemem najistotniejszym miasta staje się integracja dwóch brzegów, dwóch miejskich aglomeracji rozdzielonych rzeką w jeden organizm społeczno-ekonomiczny. Tęgo bez mostów zatwilić nie można. W momencie budowy trasy, która gwarantuje dużą przepustowość, możliwe będzie odciążenie mostów: Poniańskiego i Śląsko-Dąbrowskiego przede wszystkim. Powstaje tylko pytanie, na jak długo? Nie trudno to wyliczyć. W roku 1980 ruch na mostach zwiększy się do ponad 15.000 pojazdów na godzinę i znów przelot przez Wisłę będzie zakorkowany.

Inż. SIGALIN, którego opinia może być uważana za miarodajną, mówi:

— W mieście tak dynamicznie rozwijającym się jak Warszawa, na obu brzegach wielkiej rzeki, przy przewidywanym tempie wzrostu motoryzacji, rzeczą absolutnie niezbędną — w dającej się przewidzieć perspektywie — jest budowa w każdym pięciolciu nowego mostu. Dopiero, gdy będzie ich dziesięć lub więcej, problem komunikacji i integracji miasta zostanie ostatecznie rozwiązany. O tej perspektywie trzeba myśleć już teraz — i nie tylko myśleć, ale

i działać. W budowie tras mostowych nie powinno być po prostu przerwy...

UZUPEŁNIENIEM TRASY ŁAZIENKOWSKIEJ

— bo rozpatrując problemy urbanistyczno-komunikacyjne stolicy tak można to ująć — jest Wisłostrada, która w połączeniu właśnie z Trasą Łazienkowską stworzy nowy, bezkolizyjny układ komunikacyjny o wielkim znaczeniu dla ruchu tranzytowego. Trasa pozwoli ominąć najbardziej zatłoczone rejony stolicy. 21-kilometrowy odcinek między Wilanowem a ul. Pułkową połączy dwie jednokierunkowe jezdnie o dwóch — a w rejonie Śródmieścia nawet trzech — pasmach ruchu.

I TAK NIE WIADOMO KIEDY

na budowie trasy i Wisłostrady narodziło się coś, co można by nazwać „d u c h e m b u d o w y”. Trasa i Wisłostrada zaczęły fascynować nie tylko warszawiaków. Jak każdą wielką warszawską budową zaczął się nią pasjonować kraj. Pamiętamy czytane w prasie codziennej meldunki, na które czekaliśmy i które układają się dziś w pełną swoistą dramaturgię kronikę prac wielkiej budowy.

„31 stycznia w Chorzowskiej Wytwórni Konstrukcji Stalowych „KONSTAL” zainicjowano na specjalne wagony tyśliczną tonę konstrukcji stalowej Mostu Łazienkowskiego. W „KONSTALU” trwa próbnym montaż następnego przęsła.

„Mosty w al. Niepodległości postawione przez saperów wrosły w krajobraz ulicy, kierownicy nauczyli się już przez nie sprawnie przejeżdżać”.

„Mija osiem miesięcy od rozpoczęcia budowy Wisłostrady. Osiem miesięcy, dwieście czterdzieści dwa dni intensywnej, społecznej pracy warszawiaków, którzy przed lub po pracy, po nauce, przyjeżdżają na dwie a nawet cztery godziny, by pomóc przy robocie. Przeważnie tej najprostszej — kopaniu, ladowaniu ziemi, przetrucaniu kamienią”.

„Już wiosną zapewne zniknie drewniany mostek na ul. Marszałkowskiej, z którego, nieczym z teatralnej trybuny, widać doskonale teren budowy Trasy Łazienkowskiej. Wkrótce budownicwi położą piątą betonową na trzecim przęsle tunelu pod ul. Marszałkowską. Właśnie trwa tam końcowe roboty zbrojeniowe. Las stalowych prętów wydłuża się coraz bardziej w stronę ul. Polnej, znacząc linię murów osporowych. Na Wybrzeżu Kosciuszki kamienicy gromadzi się coraz więcej elementów konstrukcji mostowej. Na skrzyżowaniu z al. Niepodległości tylko patrzeć jak zaczyna drażyć wykopy pod tunel”.

„Filary, które już wytoniły się z nurtu rzeki, znaczą bieg Trasy Łazienkowskiej przez Wisłę”.

„Nad Wisłą zwozi się pierwsze elementy stalowej konstrukcji na czele czerniakowski, gdzie na specjalnych rusztowaniach będą montowane przęsła mostowe”.



„Kształt Trasy Łazienkowskiej coraz bardziej wyraża. Latą tydzień skończy się betonowanie trzeciej części tunelu pod Marszałkowską. Dolegają końca roboty na wschodniej części tunelu pod Placem na Rozdrożu. Jeśli dobrze pójdzie, już w kwietniu drogowcy przystąpią do „wprostowania” al. Ujazdowskich”.

„Wcześniej niż to przewidywał harmonogram, „Mostostal” przystąpił do montowania pierwszego stalowego przęsła Mostu Łazienkowskiego”.

„Zolnierze pomagają w budowie Trasy Ł. Wisłostrady”.

„Asfaltowe nawierzchnie na Trasie Łazienkowskiej ulżyły specjalna, importowana z NRF maszyna. Wydajność jest duża — całą robotę na Trasie w ciągu 1-2 miesięcy. Nowa maszyna wykorzystana zostanie do asfaltowania Wisłostrady i innych dużych stołecznych arterii”.

„Budowniczości Trasy wystąpili z ciekawą inicjatywą: postanowili w wykopie za Placem na Rozdrożu urządzić tymczasowy amfiteatr, w którym co sobotę odbywałyby się koncerty i imprezy artystyczne, dedykowane budowniczym wielkich stołecznych inwestycji i uczestnikom prac społecznych na Wisłostradzie. Polu Mokotowskim itp. W występach będą brali udział zarówno artyści scen warszawskich, jak i zespoły amatorskie związków zawodowych, organizacji młodzieżowych i wojska”.

„Przybór wody na Wiśle nie zahamował tempa robót na nowym odcinku Trasy Łazienkowskiej. Szara wstęga stalowej konstrukcji coraz bardziej się wydłuża. „Mostostalowy” montaż ją na brzegu, a potem, na rolkach, nasuwała na filary. W ten sposób ustawione zostaną trzy środkowe przęsła. Dwa skrajne — od strony Czerniakowa i od strony Saskiej Kępy — złożone zostaną później. Most będzie miał pięć przęseł, cztery filary w

nurcie rzeki i dwa przyczółki. „Ostatnie sześć metrów!” „Środkowe przęsła — połączone!”

I ZNOWU PATRZĘ NA MAKIETĘ

na rysunki architektów. Trasa zaczyna się ślepo i ślepo się kończy. Spełni ona swoje zadanie dopiero wtedy, gdy zostanie połączona w organiczną całość z pozostałymi odcinkami obwodnicy, gdy uzyska na zachodzie nowoczesny wlot na ul. Grójecką i nowe Aleje Jerozolimskie, a na wschodzie — na Grochowską i Płowiecką. Terminy tych realizacji są, jak do tej pory, niewiadome. Brak rezerw, brak pieniędzy. Warszawiacy są jednak optymistami — jak się już trasa zaczęła robić, to i poleci dalej. Nie takie trudności były z budową Stolicy, a przecież jest i Stolica i to coraz nowocześniejsza i coraz piękniejsza.

ANDRZEJ GRUN

tystyczny kinematografii i telewizji już za kilka lat. Na tym też polega odpowiedzialność szkoły za ich przyszłe sukcesy lub niepowodzenia.

Jak jest dzisiaj? Mamy niekiedy wśród studentów do czynienia z poglądami, które wymagają weryfikacji. Obserwujemy na przykład w uczelni niechęć do posługiwania się czystym scenariuszem, do czego przyczyniło się funkcjonowanie w środowisku krytyki filmowej mitu kina autorskiego. Film autorski zrodził się na Zachodzie jako protest przeciwko seryjnej, skomercjalizowanej produkcji. U nas, w warunkach kinematografii półprofesjonalnej, kiedy nie dysponujemy zawodowym scenarzystą i swobodą twórczą reżysera, niczym nie była ograniczona, kontynuowanie takich zabiegów ogranicza poważnie możliwości przejścia do nowoczesnego przemysłu filmowego, w którym specjalizacja okaże się niezbędną. A przecież zamiast dotychczasowej produkcji 25 filmów

rocznie trzeba ich będzie zrobić 60.

W dotychczasowej praktyce szkolnej reżyser nie był w pełni przygotowany do pracy w zespole twórczym, a przecież realizacja filmu to ścisła współpraca całego kolektywu. Reżyser powinien posiadać również pewien zasób wiedzy czysto technicznej. Język filmowy to nie tylko sposób opowiadania, ale również umiejętność techniczna przekazu treści narracyjnych, szukania najlepszych rozwiązań inscenizacyjnych. Chcielibyśmy, aby przygotowanie naszych absolwentów było bardziej zbliżone do wymagań współczesnego kina. Chcielibyśmy także rozbudzić nawyk ciągłego uzupełniania wiedzy o filmie. Obecnie często mamy do czynienia ze swoistym kultem talentu, który jakoby z natury rzeczy gwarantuje pozytywne efekty. Ale talent się sprawdza, jeżeli poparty jest pracą.

Nowy program nauczania musi silniej uwzględnić współpracę kierunku aktorskiego z reżyserskim. Nasi

studenci z wydziału aktorskiego mają przecież potencjalnie lepszą szansę niż ich koleżdy ze szkół teatralnych, gdyż mogą się sprawdzić w nowych technikach. W ubiegłym roku wprowadziliśmy na studiach reżyserskich przedmiot: praca z aktorem, powierzając słuchaczom realizację fragmentów sztuk teatralnych i jednoaktówek. W tym roku przedmiot ten zostanie poszerzony, ponieważ będziemy mieli możliwość realizacji widowisk telewizyjnych we własnym studiu na Marysynie. Pełne zespolenie wydziałów będzie możliwe, gdy uda nam się podstawowe założenia wspólnej pracy uwzględnić w organizacji procesu dydaktycznego.

— W bieżącym roku szkoła obchodzi jubileusz dwudziestopięcioletnia swej działalności. Składając na ręce Pana Rektora gratulacje z tej okazji, pragnę zapytać jednocześnie, jakie jest jej znaczenie dla rozwoju polskiej kinematografii?

— Szkoła w istocie rzeczy stworzyła fundament pod rozwój kinematografii w

Polsee. Podstawowy trzon kadry profesjonalistów w filmie i telewizji stanowią przecież absolwenci tej uczelni. Nie będzie chyba przesady, gdy powiem, że historia szkoły to jednocześnie historia kinematografii w powojennej Polsce. Wydaje mi się, że uczelnia ma istotny wkład w sukcesy polskiej sztuki filmowej. Ten wkład zauważany jest także za granicą, gdzie szkoła cieszy się zasłużoną dobrą opinią. Jednym z przykładów tej oceny jest fakt, że w bieżącym roku do szkoły zdał egzamin syn wybitnego reżysera węgierskiego Mikłosa Jancso, który nam właśnie powierzył jego artystyczne ukształtowanie. Absolwenci naszej uczelni pracują w wielu kinematografiach na świecie, przyczyniając się do popularyzowania uczelni, gdyż ich sukcesy są najlepszą legitymacją działalności Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi.

KONRAD FREJDLICH

ŻYCIE KULTURALNE NAUCZYCIELI

(Dalszy ciąg ze str. 3)

(Zwraca przy tym uwagę niedostateczne zainteresowanie wydawnictwami o problematyce ideowo-politycznej).

Najwyższy odsetek czytelników ma „Przekrój” — ok. 57 proc., „Kobieta i Życie” — ok. 25 proc., „Dookoła świata” — ok. 18 proc., co świadczy, że nauczyciele stanowią grupę zawodową o standardowej i heterogenicznej skali potrzeb kulturalnych, na poziomie masowego odbiorcy.

W grupie pism społeczno-kulturalnych „Polityka” skupia ok. 14 proc. czytelników, „Kultura” ok. 12 proc., „Odgłosy” ok. 11 proc., „Życie Literackie” — ok. 5 proc. (Pochwalmy się przy okazji, że na przestrzeni lat 61-67 odsetek nauczycieli czytających „Odgłosy” wzrósł z 2,8 proc. do 11,4 proc.)

Oczywiście czytelnictwo prasy przez nauczycieli trzeba rozpatrywać relatywnie, na tle całej społeczności czytającej. I w tym odniesieniu trzeba uznać powyższą sytuację za zadowalającą, chociaż można zgłosić zastrzeżenia co do wielkości czytelnictwa czasopism bardziej ambitnych. Czytelnictwo prasy codziennej, a szczególnie lokalnej („Głos Robotniczy” — ok. 63 proc., „Dziennik Łódzki” — ok. 60 proc., „Express Ilustrowany” — ok. 16 proc.) jest znacznie wyższe niż średni odsetek czytających gazety w ogóle.

Teatr, wystawa, muzea. Mimo iż w ostatnich dziesięcioleciach funkcja teatru uległa zdemokratyzowaniu, nadal teatr jest traktowany jako środek przekazu należący do wyższego poziomu kultury, a szczególnie teatr dramatyczny, charakteryzujący się systematycznym spadkiem frekwencji widów od 1961 roku. Może to świadczyć o przemieszczeniu się zainteresowań kulturalnych do innych dziedzin. (Np. w sezonie 66/67 badany przez autora, najwyższym powodzeniem cieszył się spektakl „My fair lady” i „Mocne uderzenie”). Brak jakiegokolwiek koncepcji repertuarowej w owym sezonie skłania raczej do zainteresowania tym, jak w ogóle często nauczyciele chodzą do teatru? Z badań wynika, że nie bywa w teatrze 3,2 proc. nauczycieli, 1-3 razy w roku ok. 32 proc., raz na kwartał — 21,5 proc., 2 razy w kwartale — 16,2 proc., 1 raz w miesiącu — 18,2 2 razy w miesiącu — 6,2 proc. Autor, mimo powszechnego odczucia, nie znalazł w badaniach potwierdzenia, że poziom wykształcenia pozytywnie wpływa na wzrost frekwencji w teatrach. Natomiast teza autora, że rozwój recepcji TV nastąpił m.in. kosztem teatru, wydaje się niezbyt przekonywująca. Niska frekwencja w teatrach jest zjawiskiem społecznym i winna być przede wszystkim kolejnym sygnałem wywołującym przeciwdziałanie. Zrozumiałe jest, że główne wysiłki w tym zakresie muszą wypłynąć od samych ludzi teatru.

Podobnie niską frekwencję zaobserwował autor w wystawnictwie. Ok. 43 proc. nauczycieli w latach 65-66 nie obejrzało żadnej wystawy ani nie było w muzeum, mimo wysiłków tych placówek, by stale poszerzać współpracę ze szkołami.

Kino, telewizja, radio. Należy do większości krajów, w których od lat spada systematycznie frekwencja w kinach. I przy tej okazji mówi się o konkurencji telewizji. Popularność kina wśród środków masowego przekazu jest nadal znaczna. Dużą popularnością cieszy się kino wśród młodzieży i w tym jest szczególna szansa, element kulturalnego i wychowawczego oddziaływania. Aby ów instrument w pełni wykorzystać nauczyciele muszą sami chodzić do kina i orientować się w przydatnych im pozycjach repertuaru. Okazuje się jednak, że popularność kina wśród nauczycieli wykazuje także tendencje malejące. W ogóle nie bywa

w kinie 4,5 nauczycieli, raz na rok — 6,2 proc., 2 razy w roku — ok. 14 proc., 3-4 razy w kwartale ok. 18 proc., itd. itd. Liczby te mają negatywną wymowę, ale gwoździem sprawiedliwości trzeba zwrócić uwagę na propozycje repertuarowe, które zbyt często odstraszały ludzi od chodzenia do kina.

W porównaniu z przedstawionymi powyżej dziedzinami kultury popularność telewizyjna jest największa, a programy TV są powszechnie oglądane. Ciekawe jednak wydaje się spojrzenie na popularność poszczególnych audycji i programów. A więc najchętniej oglądane są programy informacyjne, audycje o gospodarstwie domowych i żywieniu. Na wysokim, trzecim miejscu znalazły się programy dotyczące literatury i sztuki (Teatr TV, „Pegaz”, „Portrety”, „Spotkanie z pisarzem”, „Kronika kulturalna”). Dziwi, w sensie pozytywnym, dalekie miejsce rozrywki. Natomiast zupełnie niezrozumiałe jest tak dalekie (9-te) miejsce filmów fabularnych.

„Kultura obrazu — jak stwierdza autor — ma znaczną przewagę nad „kulturą słowa drukowanego”. Jest to stwierdzenie wyłamujące się z dotychczasowych przeświadczeń. Badanie budżetu czasu wykazuje jednak, że czas poświęcony telewizji jest większy od sumy czasu przeznaczanego na lekturę książek naukowych, beletrystycznych, czasopism metodycznych, tygodników społeczno-kulturalnych, magazynów rozrywkowych i prasy codziennej. Nie może to wzbudzić optymistycznych refleksji, ale nie jest to także powód do paniki. Jedno jest pewne: jeśli nie można zmienić pewnych proporcji, trzeba domagać się jakościowej poprawy programu TV.

Praca dr Adama Wedrychowicza, chociaż dotyczy sformalizowanych dziedzin uczestnictwa nauczycieli w kulturze (n.b. pozostałe obszary są i trudne do zdefiniowania i umysłają naukowej obserwacji) poza walorami dokumentu może być interesującym i ważnym punktem wyjścia do praktyki. Tak, praktyki, chodzi mi bowiem o to, że te konstatacje naukowca — generalnie negatywnie oceniane — „życie kulturalne nauczycieli” — powinny zmusić do refleksji i podjęcia działań tych wszystkich, którzy są odpowiedzialni za istniejący stan rzeczy. Nie waham się użyć słowa „istniejący”, gdyż zmiany w mentalności ludzkiej, nawyków i przyzwyczajeniach — nie zachodzą zbyt szybko. Mimo, iż uruchomiono wiele mechanizmów radykalnie przyspieszających ten proces.

ALEKSANDER GORCZYCKI



Ursula Wiebach, ur. 23 grudnia 1914 roku, należy do starszej generacji pisarzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Pochodzi z rodziny robotniczej, z Berlina, w którym mieszka od urodzenia. W trudnych latach międzywojennych pracowała w wielu zawodach, była m. in. ekspedientką, sekretarką. Po roku 1945 zajmowała się pracą dziennikarską, a obecnie jest redaktorem w jednym z berlińskich wydawnictw.

Ursula Wiebach jest autorką dwóch powieści: „Mówił o miłości” (1965), „Pensjonat Maillon” (1973), kilka opowiadań np. „Dyskretna — sprawa honoru” (1967), „Wypadek koło Sarbinowa” (1971) oraz wielu wierszy.

Twórczość pisarki jest głęboko zaangażowana zarówno w problematykę współczesną (np. sprawa ścigania i ekstradycji zbrodniarzy wojennych, stosunki między NRD a NRF za chadecji itp.), jak i w niedaleką przeszłość. I właśnie lata wojny, przeżyte przez Ursulę Wiebach w łuku o wolność swoją i męża, który na mocy osławionych „ustaw normyberkskich” z 1935 roku był poszukiwany przez gestapo, stały się osnową dla jej autobiograficznej powieści „Mówił o miłości”. Autorka ukazała w niej spory wycinek funkcjonowania faszystowskiej maszyny zagłady ludności w Polsce, jak i swoistą drogę przemiany młodej Niemki Renaty Lindner, która od obojętności wobec wojny przeszła do aktywnego uczestnictwa w ruchu oporu. A w jaki sposób znalazła się Renata w Polsce?

Po odrzuceniu załatwienia szefa w biurze, wysokiego stopniem działacza partyjnego, zostaje Renata przeniesiona do Generalnej Guberni, gdzie poznaje i zakochuje się w młodym gestapowcu Hagenie. Z czasem jednak okropności okupacji, bezlitosny stosunek Niemców wobec polskiej ludności sprawia, że Renata zaczyna — inaczej patrzeć na swoich rodaków. Zaczyna widzieć i rozumieć ogrom zbrodni popełnianej przez III Rzeszę. Postanawia sprzeciwić się temu, chociaż narzeczony — gestapowiec nie ułatwia jej zadania. Sprzymierzeńca znajduje w doktorze Bause, który stara się pomóc dziewczynie w wyciągnięciu słusznych wniosków i dyskretnie kieruje jej działalnością. W prezentowanym fragmencie Bause, przekonany antyfaszystą, członek partii komunistycznej, organizuje dla Renaty — zagrożonej aresztowaniem przez gestapo — przerzut do Związku Radzieckiego. W tej trudnej misji pomagają doktorowi łódzcy komuniści, którzy umożliwiają młodej Niemce ucieczkę.

Powieść Ursuli Wiebach zawiera sporo polskich motywów, ukazujących współpracę polskich i niemieckich bojowników, którzy wzięli się ponad barierę uprzedzeń w imię przyjaźni i pokoju.

Książka ta jest jednym z wielu przykładów polonofilskiej literatury w Niemieckiej Republice Demokratycznej, służącej umocnieniu dobrosąsiedzkich stosunków między naszymi narodami.

Warto jeszcze zaznaczyć, że powieść „Mówił o miłości” miała już dwa wydania, a w planach wydawniczych przewidziana jest kolejna, trzecia już edycja. Świadczą to chyba dowodnie o randze pisarstwa Ursuli Wiebach, ale także i o potrzebie tego rodzaju literatury między Odrą a Łabą.

Był chłodny, jasny dzień grudniowy, gdy doktor Bause wysiadł w Łodzi z pociągu i udał się do dworcowej restauracji, aby zjeść śniadanie. Choć na sali siedziało niewiele tylko gości, Bause długo rozglądał się, zanim znalazł odpowiednie dla siebie miejsce. Dwa razy przebiegał obok niego kelner i wołał: — Chwilę, tylko jedną chwilę.

Kilku żołnierzy, siedzących trzy stoły dalej, śmiało się z niskiego, ciemnowłosego mężczyzny w białej marynarce, który każdego gościa w obsługiwanej przez siebie części sali pocieszał słowami — Chwilę, tylko jedną chwilę —. Każdemu w ten sam sposób obiecywał, że będzie szybko obsłużony.

Bause zdawał się tego nie zauważać. Rozglądał się wokół z zainteresowaniem. Kiedy kelner postawił przed nim herbatę i kanapki, po-

ku, a w międzyczasie doktor Pokorny zbadał mi serce. Wkrótce po godzinie pierwszej wszedł Bause do malego lokaliku w pobliżu Dworca Głównego.

— Czy można skorzystać z telefonu? — spytał właściciela.

— Oczywiście, ale musi pan pójść do mojego biura. Korytarz, drugie drzwi na lewo. Tam jest telefon.

— To trochę potrwa — powiedział Bause.

— Nic nie szkodzi, to nie, proszę pana. Czy można podać panu coś do picia?

— Proszę butelkę mineralnej i podwójny koniak.

Ledwo Bause wszedł do biura, z bocznego pokoju wynurzył się niski, ciemnowłosy mężczyzna, ten sam, który go obsługiwał w dworcowej restauracji.

— Co się stało? Dlaczego przyszedłeś? Czy coś z Karolem? — spytał.

— Z Karolem? Nie. Dlatego właśnie jestem Stefan i ciebie, by Karola nie mieszać do tego — odrzekł Bause.

ŁÓDZKIE SPOTKANIE

prosił od razu o rachunek. Niski mężczyzna szybko wypisał liczby na kawałku papieru, zsumował i położył kartkę na stole przed Bausem. Cyfry były wypisane grubym miękkim ołówkiem, tylko jedna z jedynek była słabiej przyciśnięta.

Bause zapłacił, zgniół papier, wrzucił go do popielniczki, po czym z całym spokojem zaczął jeść śniadanie.

Gdy w pół godziny później opuścił restaurację, słyszał, jak niski zręczny mężczyzna wołał — chwilę, tylko jedną chwilę — w kierunku nowych gości.

To nazywa się mieć szczęście, pomyślał Bause idąc w kierunku przystanku tramwajowego. Stefan pracuje dzisiaj na ranną zmianę, do pierwszej. W porząd-

ku opowiedział pokrótce, co się wydarzyło w Baerenau. Stefan słuchał go z uwagą, od czasu do czasu kiwał głową, dając do zrozumienia, że niektóre szczegóły są mu znane.

— A więc jesteś w niebezpieczeństwie i musisz zniknąć — powiedział Stefan, gdy Bause skończył opowiadać.

— Pierwsze zgadza się, drugie nie. Zostaję w Baerenau, niezależnie od tego, co się stanie.

Stefan popatrzył na niego ze zdziwieniem i nieufnością. — To czego chcesz wobec tego ode mnie?

— Proszę cię o pomoc dla Renaty...

— Co? — Stefan o mało się nie zakrzusił. — Tego

URSULA WIEBACH

nie mówisz serio, nie możesz żądać ode mnie, abym ja Niemce... Nie, rób co chcesz, ale drogę do mnie mogłeś sobie oszczędzić.

Był szczerze oburzony. Ta Renata Lindner, czego ona takiego znowu dokonała? W chwili słabości — inaczej nie mógł tego określić — poczuła litość dla polskiego dziecka, i to ma stanowić dla niej przepustkę? Było przecież tylu innych Niemców, towarzyszy, którzy walczyli w swojej ojczyźnie, i którym nie można było pomóc, nawet jeśli się chciało.

— I właśnie dlatego musimy jej pomóc — powiedział Bause z przekonaniem. — Była ślepa i głucha, gdy tu przyszedła...

— A czy to nasza wina?

— przerwał mu Stefan.

— Czy nie było w Niem-

— Jest jedna możliwość — powiedział wreszcie, —

— Nie to jest powodem. Ona zrozumiała dawno o wiele więcej. Zrozumiała, że jej Hagen nie jest wyjątkiem, że takich Hagenów jest więcej. Dlaczego chcesz jej zamknąć drogę, aby walczyła po naszej stronie przeciw faszystom?

Bause położył towarzyszo- wi dłoń na ramieniu. — Stefan, a może pewnego dnia i twój brat zrozumie swój błąd. Ale pozwól nam teraz szukać chętnych do walki. Renata Lindner jest częścią przyszłości innych Niemiec. Zrozum to, człowieku. Nie zaślepiaj się w swej nienawiści. Kiedyś będziemy musieli współżyć z narodem niemieckim, w pokoju, Zło należy plewić, ale o zdrową roślinę troszcz się także.

Minęło kilka minut. Stefan położył dłoń na biurku i bębnił palcami po blacie. Patrzył nieruchomo na kalamarz.

— Jest jedna możliwość — powiedział wreszcie, —

— Owszem. Ale nie czas ku temu, by sądzić teraz młodego człowieka, za to, że wcześniej nie znalazł prawdziwego Bause mówiąc to, zaciętrzewił się, i Stefan musiał go parę razy upominać, aby ściszył głos.

— Pomyśl Stefanie o swoim bracie — wykrzyknął Bause, z trudem tylko się hamując.

— Drań, zdrójca — rzekł ponuro Stefan. — W nadziei na wynagrodzenie przeszedł do faszystów. To hańba dla całej rodziny. Syn komunisty! Tfu, do diabła!

— Renacie także coś obiecano. Dostatnie życie u boku oficera, żona właściciela fabryki. Ale ona odwraca się od tego...

— Ponieważ nie kocha tego mężczyzny — wtrącił Stefan.

Nie wiem, jak długo jeszcze. — Wyciągnął portfel i wyjął z niego kopertę, w której znajdował się zasuszony konik morski. — Weź to. — Potem objaśnił Bausemu, przez jakie miejscowości i jakich ludzi będzie konik wskazywał drogę do Związku Radzieckiego.

Doktora owładnęło wzruszenie i wdzięczność. Objął towarzysza. — Dziękuję ci, Stefan oswobodził się z objęcia. — Wolałbym, abyś ty był bezpieczny. Pewnego dnia będziemy potrzebowali lekarza dla naszej grupy.

Wstęp i tłumaczenie:

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

TYDZIEŃ JAK TYDZIEŃ

Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych „Pod Witrazem” uprzejmie zaprasza na premierę monodramu pt. „Tydzień jak tydzień” w wykonaniu Barbary Walkówny. Tekst — Natalia Barańska, tłum. Irena Lewandowska, adaptacja — Teresa Worono, muzyka — Mikael Tarivierdijew, reżyseria — Józef Zbibróg, Poniedziałek — 8 października 1973.

Scena Kameralna Teatru Rozmaitości, Mała Salka. Jest kilka takich w mieście. Poukrywane, często nie wykorzystywane, stają się nieraz miejscem spotkań ludzi teatru. Łączy ich zazwyczaj pragnienie wypowiedzenia się, wygrania poza rodzinnymi świątyniami Melpomeny. Na takich scenach powstają bardziej lub mniej interesujące spektak-

kle. Cenne w nich jest na pewno poświęcenie wolnego czasu, jakimi dysponują żywiołowi twórcy.

Aktor, kilka niezbędnych rekwizytów, ubogo nieraz a jak bogato. Kameralny nastrój zwierzenia, opowiedzenia swojej pracy, siebie poprzez tekst sztuki. Tak jest w wypadku monodramu Barbary Walkówny. Na scenie stoi krzesło, wieszak, na którym wiszą fartuch, fotel, postawiane są zegary. Każdy przedmiot oznacza zarazem miejsce akcji; krzesło — to stanowisko pracy, część sceny za wieszakiem — to jakby autobus, którym Oleńka wraca do domu, fotel — to zarazem łóżko, z którego zrywa ją prawie każdego ranka dzwonek budzika. Często słychać tykanie zegarów — wszechobecne, przypominają o nieustającej walce z czasem współczesnej kobiety.

Jednostką czasu — tydzień. Sześć kolejnych dni wypełnionych opieką nad dziećmi, bieganiną do pracy i z pracy, po sklepach, domowymi i naukowymi zmartwieniami — słowem — zagoniona szarą codziennością. Na tym tle problemem przewodnim sztuki jest szeroko propagowana wielodzietność małżeństw. Niedostateczne tempo przyrostu ludności. Dlaczego kobiety nie chcą rodzić? Dlaczego nie więcej jak jedno dziecko? Z jakimi kłopotami wiąże się pojawienie drugiego,

następnych? Jak z kolei sytuacja rodzinno-domowa wpływa na efektywność pracy, na zamiary kontynuowania nauki? Te i podobnego typu pytania znane są dziś wszystkim i każdy może na nie odpowiedzieć na podstawie własnych doświadczeń.

Monodram „Tydzień jak tydzień” jest pewną sumą, wypadkową wszystkich, jakby ankietowych, odpowiedzi. Przykła bohaterki uogólnia ten typ kobiet, które zerwały z ograniczeniem swego życia do rodzenia dzieci, opieką nad nimi i tzw. kuchnią. Ofiara emancypacji. Ale nie tylko ona — jej mąż i dzieci także. On również cierpi na brak czasu, kiedy urodziło się drugie dziecko musiał podjąć dodatkową pracę. Ona zaś, ubierane rankiem w błyskawicznym tempie, odsyła pod cudzą opiekę, czasem niedozwolone, stają się świadkami wieczorowych sprzeczek nerwowych rodziców, czasami ofiarami ich zniechęcenia.

Do rangi konfliktowych wydarzeń z wielkich dramatów urastają w „Tygodniu” rozmowy z mozo niezadowolonymi szefami, podlizywanie się Wali — laborantce, niewielka nawet wielkich marzeń urastają pragnienia pójścia gdzieś bez celu, choćby na chwilę wyrwania się ze studni obowiązków. Do wymiarów niemożliwości urasta (mimo wolnych 2-ch dni w tygodniu!) wygospodarowanie czasu na wizytę w teatrze, ba!

TEATR

na zwykłą rozmowę z kimś bliskim, a już zupełnie mowy być nie może o wyczerpaniu się w pokazną powieść.

Jest ta cała domowo-robotcza bieganina wielce absurdalna, ale zupełną niemożliwością jest wycofać się z niej. Czy fakt ten monodram ukazuje jako przymus tragiczny? Nie. Takie jest to nasze życie i z takim trzeba się godzić — zdaje się mówić bohaterka „Tygodnia”.

Postać Oli ukazała pani Barbara Walkówna niezwykle przekonująco. Właściwie, to dyktans aktor — postać kreowana — został pokonany, a w rezultacie tego byliśmy świadkami uroczego i w tym uroku optymistycznego zwierzenia.

Starajmy się częściej na to szare tło naszych dni rzucać jaśniejsze i kolorowe barwy drobnych radości, uśmiechów. Bo źle jest, jeżeli dostrzegając przerzedzone włosy, zapadnięte policzki, zmarszczki na twarzach naszych i naszych najbliższych nie pamiętamy nie z przebytej drogi.

PIOTR SŁOWIKOWSKI



Rys. A. Grun

CZY MAMY „BRACI” W KOSMOSIE?

Jest rok dwutysięczny. Pole startowe gdzieś na północnej półkuli. Podeszytowany tłum ludzi odprowadza mały statek kosmiczny o napędzie atomowym. Aparat udaje się w podróż, która potrwa milion lat. Na pokładzie statku znajduje się tysiąc kilogramów specjalnie dobranych mikroorganizmów, przeznaczonych dla zagubionej w głębi naszej Galaktyki, niezamieszkałej planety, ale na której istnieją warunki dla rozwoju życia ziemskiego. Celem tej podróży jest nadanie impulsu rozwojowi życia na planecie tak, aby, mniej więcej, w przeciągu czterech miliardów lat powstało tam społeczeństwo, podobne do istniejącego na Ziemi...

Dziś ten mały scenariusz jest czystą fantazją. Ale już w końcu tego stulecia będziemy, prawdopodobnie, dysponować takimi możliwościami technicznymi i biologicznymi, żeby móc przekształcić ją w rzeczywistość.

Perspektywa realizacji tego zamierzenia pozwoliła dwóm uczonym w dziedzinie biologii molekularnej, F. Crickowi i L. Orgelowi, wysunąć nową hipotezę o pochodzeniu życia na Ziemi. Obaj uczeni przypuszczają, że tysiące milionów lat temu nieznaną nam rozwiniętą cywilizacją postanowiła zaprowadzić na Ziemię prymitywnymi formami życia w nadziei, iż dadzą one początek nowym cywilizacjom. Uczeń twierdzi, że ich teoria, nazwana teorią kierowanej panspermii, ma taką samą rację bytu, jak inne hipotezy, wyjaśniające pochodzenie życia na Ziemi.

Problemem powstania życia na Ziemi już od dawna absorbują umysły uczonych. Po rewolucyjnym przewrocie w nauce w XIX wieku pogrzebano iluzję o spontanicznym powstaniu życia na naszej planecie. Wiodące znaczenie zyskała sobie idea reprezentująca radykalny punkt widzenia, sformułowana w pierwszej połowie naszego stulecia przez szwedzkiego chemika S. Arrheniusa, że życie na Ziemi pojawiło się w postaci zarodników bakterijskich, wysłanych z innej planety. Później, amerykański fizykochemik, M. Calvin, uzupełnił hipotezę Arrheniusa teorią panspermii, zakładając, iż w swej długotrwałej podróży przez przestrzeń kosmiczną zarodniki mogły się „posłużyć” meteoritami, jako środkiem „transportu”.

Istnieją jednak mocne argumenty przeciwko idei panspermii w jej początkowym sformułowaniu. Na przykład Carl Sagan z uniwersytetu w Berkeley dowiódł, że radiacja, której byłyby poddane owe zarodniki podczas podróży międzyplanetarnej zniszczyłaby nawet najbardziej odporne organizmy. Jeżeli zarodniki znajdowały się wewnątrz meteorytów, jak utrzymuje Calvin, to, oczywiście, były one chronione od destrukcyjnego działania radiacji. Jednakże taka forma „dostawy” zarodników jest mało prawdopodobna, należy bo-

wiem wątpić, by jakieś masywne ciało niebieskie mogło opuścić sferę jednego systemu gwiazdowego i spaść na planety innego systemu. Czy nasza Galaktyka istnieje na tyle długo, by mogły się w niej sukcesywnie „uformować” dwie rozwinięte cywilizacje?

Wiek naszej Galaktyki liczy około 13 miliardów lat. Jest mało prawdopodobne, by pierwsze pokolenie gwiazd, utworzone z lekkich elementów, miało swoje planety. Ale w okresie dwóch miliardów lat od momentu powstania Galaktyki już powinny się na Ziemi pojawić takie ciała niebieskie, jak nasze Słońce. Wiemy, że od chwili pojawienia się życia na Ziemi do narodzin obecnego „wieku techniki” minęło około 4 miliardy lat. A zatem „pozostało by” dość czasu, bo około 7 miliardów lat, dla początku i ewolucji jakiegokolwiek innej rozwiniętej pozaziemskiej cywilizacji, poprzedzającej pojawienie się na Ziemi pierwszych „iskierek” życia.

Możliwość wystania żywych organizmów, w podróży kosmicznej trwającej ogromne ilości lat świetlnych, które „dzielią” nas od potencjalnie „gościnnych” planet, zależy głównie od ich żywotności. Dla takiego zamierzenia są, rzecz jasna, najbardziej odpowiednie mikroorganizmy, dzięki ich małym zazwyczaj rozmiarom i skromnym potrzebom już po przybyciu na nowe miejsce. Poza tym mikroorganizmy mogą być zamrażane na okres podróży i następnie przywracane do poprzedniego stanu po osiągnięciu miejsca swego przeznaczenia. Doktor Peter Smeton obliczył czas przetrwania mikroorganizmów w warunkach statku kosmicznego. Jego zdaniem „niektóre formy życia można zachować ponad milion lat, jeżeli będą one w odpowiedni sposób zabezpieczone, i można je utrzymać w temperaturach bliskich zeru absolutnemu”.

Czy istnieje jakikolwiek dowód, że jesteśmy „potomkami” starożytnych międzyplanetarnych „podróżników”?

Tutaj należy zwrócić uwagę na dwie anomalie biologiczne. Pierwsza dotyczy genetycznego kodu. Wielu biologów molekularnych zdumiewa istnienie tylko jedne-

go generalnego kodu dla wszystkich form życia. Jeżeli życie na Ziemi powstało spontanicznie, to prawdopodobnie powstało by ono niezależnie w kilku miejscach i w różnym czasie, a rozmaite żywe organizmy posiadałyby rozmaite kody. Raz powstały kod musi później dominować, ponieważ żaden inny kod nie może się z niego wyodrębnić w drodze mutacji. Być może, uniwersalność ziemskiego kodu genetycznego jest po prostu wynikiem naszego pochodzenia z „jednego nasienia”, wysłanego na Ziemię kilka epok geologicznych wcześniej?

Druga anomalia biologiczna, która zmusza uczonych do poważnego zastanowienia się nad hipotezą kierowanej panspermii, polega na niezwykle ważnej roli molibdenu w procesach biochemicznych zachodzących w organizmach ziemskich. Dla wielu systemów reakcji biochemicznych metal ten jest absolutnie niezbędny i inne elementy nie mogą go zastąpić. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby na Ziemi molibdenu było stosunkowo dużo. Ale tak nie jest.

Można się spodziewać, że skład chemiczny naszej planety powinien odzwierciedlać biologiczną budowę jej mieszkańców. Crick i Orgel utrzymują, że „jeśli uda-

się udowodnić, iż zawartość składników w żywych organizmach ziemskich odpowiada ich rozpowszechnieniu w gwiazdach jakiegokolwiek klasy, na przykład w molibdenowych, to z dużym zaufaniem można przyjąć „teorię infekcyjną”.

Na ile planetach naszej Galaktyki może jeszcze istnieć życie?

Mniej więcej 20 procent gwiazd może mieć własne planety i, być może, jedna dziesiąta tych nieznanych światów ma powierzchnię sprzyjającą ewolucyjnemu rozwojowi życia. Ale jak wysoko po tej drabinie ewolucji może wspiąć się takie życie powiedzieć nie sposób.

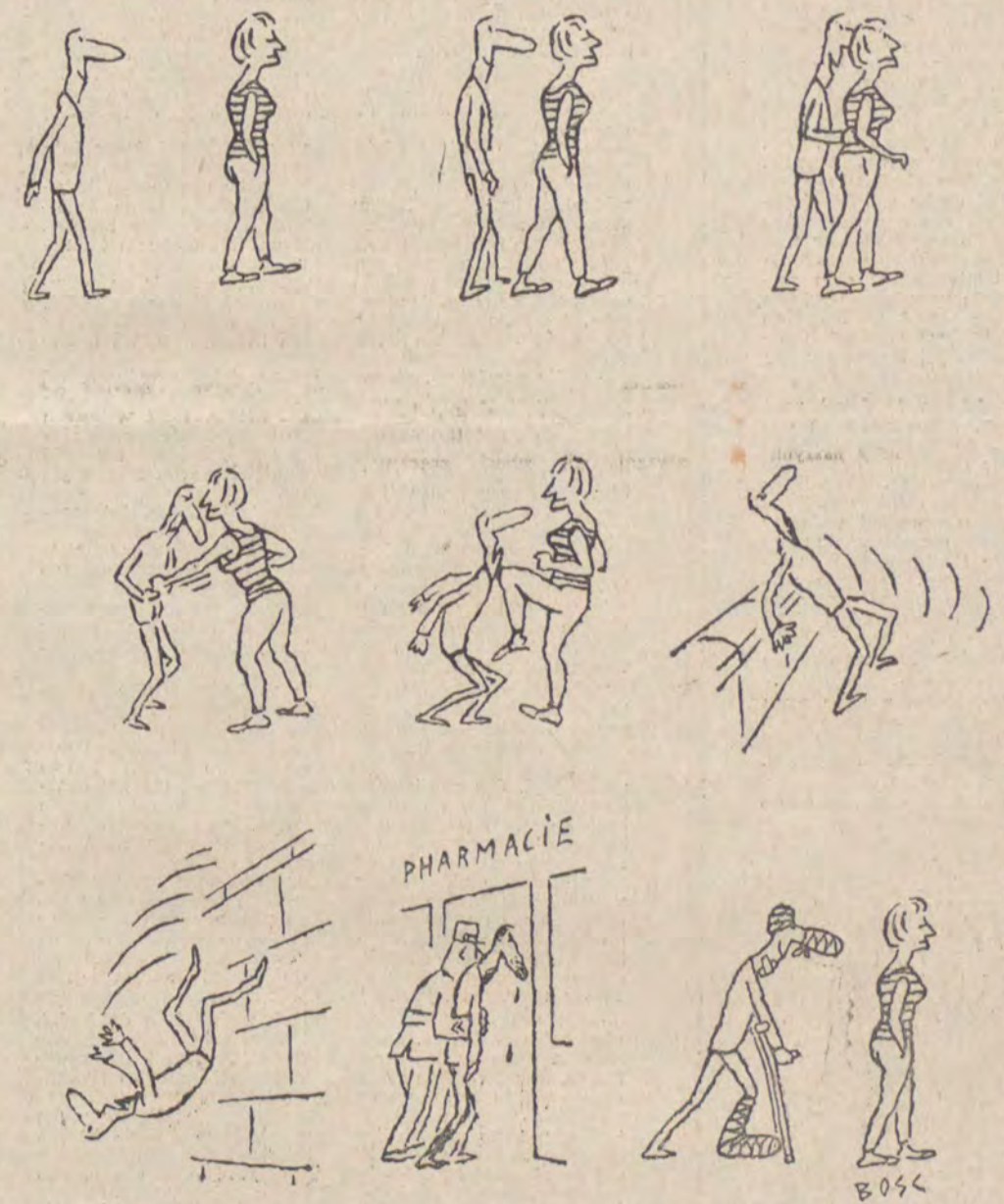
Prof. Sagan, rozpatrując ogólny problem możliwości odkrycia rozwiniętej cywilizacji w naszej Galaktyce, zwraca uwagę na moment, który pozostał nie zauważony podczas poprzednich prób sformułowania problemu komunikacji międzyplanetarnej drogą matematyczną: cywilizacje, które w swoim rozwoju zostały nas daleko w tyle stworzyły taką technikę i odkryły takie prawa, które wychodzą poza granice naszego rozumienia. Swoją myśl zilustrował on następującym przykładem: Naszym dalekim przodkiem byłoby niezmiernie trudno zrozumieć współczesne społeczeństwo i jego kulturę, jed-

nakże z punktu widzenia astronomów okres dziesiątków lub setek tysięcy lat jest bardzo krótki. Cywilizacja, która wyprzedziła nas o miliony lat stworzyła taką technikę, która jest dla nas prawdziwym czarnoksiężstwem. Czy takie społeczeństwa będą próbowały nawiązać z nami łączność, upatrując w tym szczególną przyjemność? Czy my, na przykład chcielibyśmy „obcować” z takimi naszymi „poprzednikami”, jak najprostsze mikroorganizmy i bakterie?...

Oczywiście istnieje „horyzont komunikacyjny” między odrębnymi cywilizacjami, które Sagan ocenia na tysiące lat. Jakakolwiek cywilizacja, która wyprzedziła nas o tysiące lat nie jest zainteresowana w nawiązaniu kontaktu z ludźmi. Istnienie takiego „horyzontu” narzuca sztywne ograniczające warunki na „komunikację” międzygwiazdową.

Jak daleko od nas może się znajdować najbliższa cywilizacja, z którą moglibyśmy nawiązać kontakt? Według optymistycznych obliczeń — w odległości około 10 tysięcy lat świetlnych. Ale nie wiemy w jakim kierunku należy jej szukać i, oczywiście, problem dwustronnej łączności na razie nie istnieje.

J. CZECH



Polak pod namiotem

(Dalszy ciąg ze str. 4)

który może z miejsca przekreślić dalsze plany urlopowe. Jeżeli już się modlić, to przede wszystkim do św. Krzysztofa, patrona transportowców (patrz: T. Breza „Spizowa brama”), by pozwolił nam uniknąć jakiegokolwiek poważniejszej awarii samochodowej. Ceny na stacjach obsługi są bowiem adekwatne do ogólnej drożyzny. Za odpowietrzenie i ustawienie hamulców, które zagrażały mi się przy zjeździe z przełęczy Kleusen (1940 m) w Szwajcarii, zapłaciłem z bólem serca ok. 20 dolarów.

Trzeba w tym miejscu stwierdzić, że turysta polski nie jest podczas przejazdów

przez kraje kapitalistyczne zabezpieczony przed groźbą poważnych remontów samochodu. Na kraje socjalistyczne można wykupić książeczkę zawierającą talony na ewentualną pomoc techniczną. Wykorzystane za granicą talony opłaca się w Polsce w złotych. Czy nie można byłoby znaleźć jakiegoś rozwiązania funkcjonującego na inne kraje? Jakiejś formy kredytowania remontów istotnie niezbędnych. Turystę polskiemu odpadałaby zmyślna, która zatrzyma mu najpiękniejsze momenty w jego wędrówce po górskich drogach i serpentynach Włoch, Austrii i Szwajcarii, które surowo egzaminują stan techniczny jego wozu.

Na razie konieczne remonty

pokrywać trzeba wydartymi spod serca dewizami, albo radzić sobie jakoś samemu. Tutaj bezwzględna wyższość mają ci, którzy potrafili sami usunąć drobne awarie w swoich samochodach. Dla ścisłości trzeba dodać, że Polacy za granicą wykazują duży stopień solidarności. Na campingu West w Wiedniu byłem świadkiem, jak jeden nasz rodak drugiemu, całkowicie nieznanemu, reperował samochód i po dobrej godzinie pracy oddał mu go „na chodzie”.

Podobny przykład bezinteresowności widziałem na Monte Antene w Rzymie, gdzie polski lekarz, profesor śląskiej Akademii Medycznej, pospieszył z pomocą chorej rodaczce, w pełni się to angażując.

Tu zresztą dotykam drugiej zmyślności polskich turystów na Zachodzie: co będzie, jeżeli w czasie podróży ktoś poważnie zachoruje? I w tym względzie każdy nasz turysta działa całkowicie na własne ryzyko, zakładając z góry optymalną sytuację, że ani on ani nikt z jego rodziny nie zachoruje. A tymczasem tryb życia na campingach stwarza różne niebezpieczeństwa. Choćby poparzenie maszynką spirytusową (złotkiem się w tym roku z poważnym tego rodzaju przypadkiem).

I tak w notatkach swoich od rzeczy błahych i drobnych doszedłem niepostrzeżenie do poważnych. Ilość wyjazdów turystycznych Polaków rośnie z roku na rok, jak rośnie ilość posiadaczy samochodów. To już nie sprawy indywidualne ale społeczne. Dla państwa nie mogą być obojętne losy jego obywateli, których na szosach Europy zachodniej dotknąć

mogą różne wydarzenia losowe.

Zdajemy sobie sprawę z trudności dewizowych, które powodują, że dla turysty wyznacza się niski limit dewizowy. Wyposażając jednak swoich obywateli tak skromnie, musimy poważnie niż dotąd pomyśleć o zabezpieczeniu im w nagłym przypadku pomocy lekarskiej i technicznej. Już tylko na marginesie dodam, że realizacja na Zachodzie ubezpieczenia AC „Warty” natrafia podobno na ogromne trudności.

Rzecz wymaga kompleksowego rozważenia. Potrzeba pewnych rozwiązań, dzięki którym Polak będzie mógł odpocząć za granicą pod namiotem bez stałych napięć i niepokojów.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Listy do Redakcji

„POWRÓT DO ZNAKU”

Wasze czasopismo drukowało 22.IV.1973. s. 109 i następnie mój drobny tekst pod tytułem „Powrót do znaku”. „Odra” nr 10/1973 drukuje ten sam tekst, mniej okrojony niż ukazał się w „Odgłosach”, bez notatki o wcześniejszej publikacji.

Przesłałam kopię listu wyslanego przeze mnie w tej sprawie do redakcji „Odry”.

„Odra” wydrukowała w nrze 10/1973. s. 109 i następnie mój drobny tekst pod tytułem „Powrót do znaku”. O poezji konkretnej Romana Gorzelskiego, jest mi miło, że uznał Pan le moją rzecz za wartą opublikowania w Waszym miesięczniku, jednakże muszę wyjaśnić, co następuje:

1. tekst, o którym mowa, został podany do druku w „Odrze” nie przeze mnie, co więcej o tym, że został podany, do wiadomości się, ku swojemu zaskoczeniu, wczoraj z nru czasopiśmi.

2. dlaczego o tym informuję: ów tekst, w skróconej nieco, nie uzgodnionej zresztą z mną wersji i pod przydany mi nie moim tytułem „Powrót do znaku” (tekst bowiem nie posiadał tytułu, będąc przeznaczonym do katalogu rękomo przygotowanej przez p. Gorzelskiego wstawy jego poezji konkretnej) został podany wcześniej i o

został opublikowany w nrze 10/1973. s. 109 i następnie mój drobny tekst pod tytułem „Powrót do znaku”. O poezji konkretnej Romana Gorzelskiego, drukowanych w nrze „Odry”, dopisano zdanie nie mojego autorstwa: „Ale czy tylko?...”, które zmienia zasadniczo konkluzję mojego wywodu.

Przy sposobności oświadczam, że tekst, o którym mowa, nie podawałem do druku nigdzie — ani pod tytułem „Powrót do znaku”, ani pod żadnym innym. Liczę na wydrukowanie niniejszych wyjaśnień w najbliższym numerze „Odry”.

JACEK WESOŁOWSKI

GLUCHY TELEFON

Musieliśmy w pilnej sprawie zadzwonić do innego miasta. Dzwoniłam ze średniowiecza i nie mogłam skorzystać z dobrodziejstwa automatycznych połączeń między miastami. Zamówiłam rozmowę i cierpliwie czekałam. Takich jak ja było znacznie więcej. Czekaliśmy więc swojej kolejności na połączenie. Ale czas upływał, a połączenia nie było. Musiałam niestety zrezygnować z rozmowy telefonicznej. Nie mogłam dłużej czekać. Była i tak.

Zadzwoniłam więc do reklamacji, aby odwołać rozmowę i tu się zaczęło. Przez półtorę godziny próbowałam doprowadzić się do reklamacji rozmów między miastami. Bez skutku. I byłabym o tym nie napisała, gdyby nie to, że akurat dzień wcześniej czytałam w „Dzienniku Łódzkim” o przyszłości telekomunikacji. Czego to my nie będziemy mieli. Cieszy to, ale smuci też i to, co mamy. Bardzo źle telefony. A piszę o tym również i dlatego, że to ja — e jeden raz i nie tylko ja próbuję bezskutecznie doprowadzić się do reklamacji. Sądzę, że usprawnienie pracy reklamacji nie wymaga zbyt wielkich nakładów i trudu. Chyba się nie mylę?

ZOFIA JAROS (Łódź)

NASZE REZERWY

Wiele mówi się u nas ostatnio o ciągle istniejących rezerwach i potrzebie ich wykorzystania. Proszę mi wybaczyć, że powtórzę rzecz znaną, ale my mamy największe rezerwy w naszych głowach. Dla wykorzystania tych rezerw potrzebne są jednak odpowiednie warunki. Mówiło się, że nowe prawo wynalazcze usunie przeszkody, jakie utrudniały wprowadzanie postępu technicznego. Radykalnej zmiany w tej dziedzinie nie widać. Była i tak, że wynalazek wprowadzono, a cała zaroga patrzy wilkiem na wynalazcę, bo straciła premie. Przy czym? Za postępek w technice czy technologii nie poszedł postępek w planowaniu i zarządzaniu. A bywa i tak, że jest dobry wynalazek, ale wszyscy wolą udawać, że go nie widzą, będąc tylko nie brać na siebie, dodatkowego kłopotu.

Wiem, że dotykam tylko tych problemów, ale sygnalizuję je redakcji z nadzieją, że może zainteresuje nimi swoich pracowników. Myślę, że warto.

EDWARD OPALA (Łódź)

Listy do Redakcji

FILM

STAŚ I NEL na ekranie

Na ten film czekaliśmy długo, lecz z nie słabnącą ciekawością. Piszę — czekaliśmy — gdyż śmiem sądzić, iż film „W PUSTYNI I W PUSZCZY” w reżyserii Władysława Slesickiego oglądać będą nie tylko dzieci, które są głównym jego adresatem. Kilka pokoleń z zapartym tehem czytało powieść pana Henryka Sienkiewicza i zapewne wielu dorosłych wybierając się na ten film, okazję tę potraktuje jako kilkugodzinny powrót do kraju dzieciństwa.

Filmowa wersja „W pustyni i w puszczy” była w warunkach naszej kinematografii przedsięwzięciem ogromnym i ryzykownym. Na realizatorów filmu czekała więcej pułapek, niż przy wielu innych próbach adaptacji naszej klasyki. Z tym większą radością śpieszę donieść, że rzecz się udała, choć wiadomo z góry, że na pewno jakieś tam żale czy pretensje wobec realizatorów zgłaszać się będą, wytknąć pewne zmiany, a zwłaszcza pewne niedostatki dramaturgii. Na wszystkie te uwagi raz w imieniu dzieci odpowiem: Panowie Reżyserzy, róbcie dla nas więcej podobnych filmów, w których będzie poobnie dużo ambicji, wkładu pracy i serca.

A teraz ad rem. Sprawa nieunikniona było wprowadzenie do filmowej adaptacji powieści Sienkiewicza pewnych korekt historycznych. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nasz wielki mistrz sztuki narracyjnej popełniał często pewne pomyłki w interpretacjach historycznych. Dotyczy to również zawartości w tej powieści obrazu i oceny ruchu mahdyistów. Wszystkie ambitniejsze wydania książki „W pustyni i w puszczy” opatrzone są dziś przysięgłym dla dzieci komentarzem historycznym (vide posłowie Mariana Brandysa w serii „Złotego Liścia”). Realizując film, trzeba było komentarz zamienić wprost na korektę tego obrazu. Zdecydowano się również na zmianę pewnych wątków. Sądzę, że nikt ze współczesnych pretensji o to do autorów filmu mieć nie może. Zadanie było trudne, gdyż dzieje Stasia i Nel pozostają w ścisłym związku z takim obrazem mahdyistów, jakimi widział ich Sienkiewicz. Zachowanie przebiegu dramatycznych przeżyć młodych bohaterów, przy wprowadzeniu zasadniczych korekt ich tła, musiało pociągnąć za sobą pewne dla jednych, dorosłych oczywiście widzów, uproszczenia, dla innych niedopowiedzenia. I jest to na pewno prawda. Wydaje mi się jednakże, iż dokonane w filmie przesunięcia i zaakcentowanie złożoności ruchu wyzwolenieckiego mahdyistów, przy zobowiązaniach narzuconych przez samą fabułę powieści, rzecz w sposób wystarczający wyjaśniają. Poprowadzenie zaś wątku Charisa przydało całej opowieści nowych i chyba istotnych dla celu walorów. Może zbyt nieprawdopodobnie rozwiązano wielką bitwę Murzynów, na których czele stanął Staś i Kali stożoną z handlarzami niewolników, lecz młoda widownia przyjmując zapewne bez zastrzeżeń jej humanistyczny sens.

Wielką przygodą i spotkanie z Afryką to drugi nurt naszych refleksji o filmie. Prawda, którą zapewne dostrzegą dorośli, będzie pewnie to, że świetnemu dokumentalście, jakim jest Władysław Slesicki, brakowało miejscami doświadczeń dobrego narratora. Wynikają z tego pewne niedostatki dramaturgii całej opowieści i rozwiązania niektórych sytuacji. Jako przykład podajmy tu choćby wątek przyjaźni z Kingiem, a zwłaszcza proces jego oswojenia i uwolnienie, gdzie ilustracyjność zastąpiła potrzebę wewnętrznego dramatyzmu. Zapewne wytłumaczyć to można samą niewątpliwie trudną realizacją filmu, którą komplikował zarówno udział dzieł jako głównych bohaterów i pozostałych aktorów, w większości amatorów, jak i trudności realizacyjne, wynikające z warunków plenerowych, klimatycznych itp.

Dzieci w filmie Władysława Slesickiego, a więc mała Monika Rosca w roli Nel i Tomasz Mrdzak jako Staś, są doskonale nawet wówczas, gdy chcieliśmy, by Staś bardziej na oczach naszych wewnętrznie dojrzał.



W tym filmie sukces młodziutkich aktorów warunkuje sukces całego przedsięwzięcia. Wielka przygoda Stasia i Neli niesie młodym widzom nie tylko wielkie emocje. I wydaje się, że realizatorzy filmu nie zgubili nic z tych poznawczych i wychowawczych walorów, które niesie sama książka, że to co było odwaga, uczciwością i szlachetnością, pozostało nimi. Ze akcenty humanistyczne zarzuciły w filmie szczególnie pięknie, że samo działanie oraz włożone w usta Stasia i jego ojca słowa o humanitaryzmie i partytyzmie znajdują swe echo u młodych widzów. Sądzę, że film będzie piękną lekcją Afryki, Slesicki był i jest dokumentalista, a Bogusław Lambach świetnym operatorem. Piękno i groza Afryki, jeśli nawet pewne ich obrazy, dorosłym mogą się wydać stereotypowe, dla młodych widzów będą jej odkryciem. Tym pełniejszym, że wśród tej przyrody przesyła swe przeżył Staś i Nel — bohaterowie oraz Tomek i Monika — aktorzy prawdziwi.

Moja sympatia dla filmu Władysława Slesickiego płynie zapewne stąd, że film ten oglądałam i przeżywałam razem z dziećmi, ich wrażenia stały się moimi. Dla nich ten film zrobiono. Jako człowiek dorosły wiem, że legendzie książki Sienkiewicza przydano film, który jej krzywdy nie czyni, jeśli nawet nie wszystko się zupełnie udało. Jako widz dorosły przeżyłam też smutek ostatnich scen filmu, kiedy spotkanie pana Tarkowskiego z dziećmi pokazało już nie można było. Stanisław Jasiukiewicz nie mógł już na planie stanąć.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR

POEZJA I ŻYCIE

Z JANEM PERZEM
na Jego 25-lecie



JAN PERZ

że do pracy w teatrze przygotowywali mnie ludzie wybitni. Najpierw od 1942 r. studiowałem polonistykę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, gdzie obcowania z literaturą uczył mnie Julian Krzyżanowski, a także Stanisław Adamczewski, Zofia Szymłowa, Witold Doroszewski, Stanisław Skorupka i Jerzy Kreczmar (sic!). Te studia dały mi wyczerpanie na teatr poetycki, rejestrując zderzenie wizji świata rzeczywistego z jego poetycką kompozycją.

Kończąc po wojnie filologię, uczęszczałem jednocześnie na prowadzone przez Karola Borowskiego Studium Dramatyczne w Lublinie, gdzie zetknąłem się z takimi indywidualnościami, jak Zygmunt Chmielewski, Irena Ladościówna, Gustawa Blońska. Odebrałem tam żywy przekaz pięknej tradycji teatru polskiego, pracy z aktorem i umiłowania teatru rodem wprost z „Reduty”.

I wreszcie łódzka Szkoła Teatralna, prowadzona wówczas przez Leona Schillera. Celem, jaki sobie stawiał, było, by absolwent reżyserii jak najwięcej wiedział, by gromadził maksimum doświadczeń artystycznych i życiowych.

O ile pamiętam, pierwszą sztuką, jaką wyreżyserował Pan, byli „Niemej” Kruczkowskiego w Teatrze Współczesnym w Szczecinie z Marią Malicką i Stanisławem Brylińskim. Połem nastąpiło wiele przedstawień, składających się na Pański 25-letni szlak bojowy. Jakiego kierunków własnych poszukiwań artystycznych preferował Pan, z jakimi był Pan najmocniej związany.

— Jeśli chodzi o treści przekazu teatralnego, interesowały mnie najbardziej problemy moralne. Stąd sięganie po sztuki, w których dążenia ludzkie oceniane są w świetle wysokich wymagań stawianych sobie przez samych bohaterów, weryfikowane ich praktycznym działaniem. Do udanych moich prób na tym obszarze zaliczyłyby Inscenizację „Na dnie” Gorkiego, czy „Marii Magdaleny” Hebbla. Z tego samego źródła biorą się moje zainteresowania teatrem politycznym.

Tu wspominałbym wystawianą w Łodzi sztukę „Diabełski krag” Hedy Zinner, ukazującą piękną i niezłomną postać Dymitrowa, lub sceniczną adaptację pamiętników Jakuba Wojciechowskiego, nasyconych autentycznym trudnej drogi działacza robotniczego w warunkach Polski sanacyjnej. Dla przekazania idei nadrzędnej utworu chętnie uciekam się do sugestywnego skrótu. Tu już jeden krok do formy plakatu artystycznego, jakim było na przykład moje przedstawienie „Pierwszej Konnej” W. Wiszniewskiego w Poznaniu (prapremiera polska).

Interesowała mnie zawsze praca nad tekstem, wydobycie i wypuklenie głównego nurtu, porządkowanie składających się nań elementów. To prowadziło mnie także do adaptacji utworów epickich, do wykorzystywania książki, powieści — zamkniętego skądinąd procesu twórczego — jako punktu wyjścia do nowej interpretacji w innym tworzywie, jakim jest język sceny.

— Po przeszło dwudziestu latach wrócił Pan do Łodzi, obejmując w 1970 r. dyrekturę i kierownictwo artystyczne Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej. Jest to teatr specjalny. Jak z punktu widzenia swojego bogatego doświadczenia ocenia Pan obecną sytuację tej sceny?

— Teatr Ziemi Łódzkiej jest najstarszą w Polsce sceną teatralną typu objazdowego, bo działająca już od 22 lat. Osiągnięcia jego w dziedzinie krzewienia kultury teatralnej są niewątpliwie. Teatr ten był modelem dla innych powoływanych później do życia scen objazdowych.

Z załem trzeba stwierdzić, że ów handicap najwcześniejszego startu nie został utrzymany. Nowsze sceny objazdowe pięknie rozwinęły swoją bazę. Nie mówię już o luksusowej siedzibie Teatru Ziemi Mazowieckiej w Warszawie przy ul. Szwedzkiej, ale choćby o pięknym, nowoczesnym gmachu teatralnym o dwóch scenach, jaki otrzymał przed paru laty Teatr Ziemi Krakowskiej im. L. Solskiego w Tarnowie. My pozostaliśmy, niestety, w tyle.

Dla prawidłowej działalności naszego teatru potrzebni są sojusznicy. Nie możemy narzekać na ich brak. Cenimy sobie szczególnie tych sojuszników, których pomoc odczuwamy na co dzień. Tych, którzy dbają o stan sal i warunki, w jakich przychodzi teatrowi grać. Pedagogów, którzy występy teatru poprzedzają omówieniem z młodzieżą sztuki, na którą ma się wybrać. Młodzież szkolna, która pisze do nas listy, zapraszając zespół TZL na spotkania. Słowem wszystkich przyjaciół i wiernych bywalców naszego teatru.

Łączność z widownią Ziemi Łódzkiej uważamy za podstawę naszej działalności. I te związki pragniemy nadal rozwijać i pogłębiać, uwzględniając widoczny wzrost jej poziomu intelektualnego i teatralnych potrzeb.

Rozmawiał:
WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Z okazji jubileuszu 25-lecia pracy artystycznej redakcja „Odgłosów” składa Janowi Perzowi najserdeczniejsze życzenia pomyślności i dalszej owocnej pracy twórczej.

PLASTYKA

„W pustyni i w puszczy” Wiesław Sniadecki Scenografia i studia z podróży

Aktualna wystawa w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza zorganizowana staraniem Zarządu Sekcji Scenografii Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków oraz Biura Wystaw Artystycznych zasługuje na uwagę specjalną. Jest to bowiem pierwsza tego typu ekspozycja, stawiająca sobie za zadanie — jak informują organizatorzy — ukazanie powstawania dzieła filmowego w zakresie oprawy plastycznej: od dokumentacji historyczno-inspiracyjnej i topograficznej, przez projektowanie dekoracji, kostiumu i rekwizytu, aż do opracowania graficznego napisów czolowych.

Mamy więc okazję poznać nietłwą pracę scenografa filmowego „od podszewki”, że użyję tu takiego porównania, a jest to praca, która wzbudza nasze zainteresowanie po pierwsze dlatego, że scenografia jest tym rodzajem sztuki, który łączy w sobie w sposób organiczny doświadczenia wielu innych dyscyplin sztuki, doświadczenia zarówno dyscyplin tradycyjnych jak i na wskroś awangardowych; a po drugie dotyczy się tematu szczególnie dla

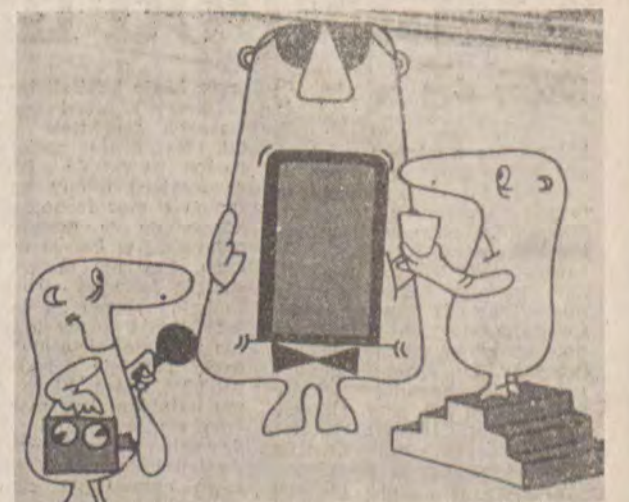
nas sympatycznego i bliskiego — bo któż z nas nie czytał chociaż raz w życiu owej uroczej książki Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”, kogo z nas nie wzruszały przygody Stasia i Neli w dalekiej Afryce, nie napawała dumą dzielność młodego Tarkowskiego, wykazującego tyle przedsiębiorczości i charakteru, stającego w obronie swej małej towarzyszyki i przyjaciółki. Ilekroć sięgam po tę książkę, doznaję zawsze wzruszeń, które danymi są nam wtedy jedynie, gdy powróćmy możemy na chwilę chociaż w czarowną krainę naszego dzieciństwa.

Autorem ekspozycji jest Wiesław Sniadecki, główny scenograf filmu „W pustyni i w puszczy” oraz grupa jego współpracowników, współautorów poszczególnych ekspozycji. Są to więc projekty kostiumów, rekwizytów i dekoracji oraz już gotowe ich elementy, powstałe i wykorzystane w trakcie kręcenia tych scen filmu, które wymagały scenarii oryginalnej. Wśród nich znajdujemy również przedmioty autentyczne, jak instrumenty muzyczne lub biała broń, które z kolei podnoszą wartości dokumentalne i poznawcze ekspozycji, a obok tego wiele zdjęć i reprodukcji z różnych publikacji, poświęconych Afryce, a które to materiały ikonograficzne stanowiły niezbędny materiał informacyjny w kwestiach ubioru, uzbrojenia, obyczajów itp.

Druga część wystawy to prywatny notatnik Wiesława Sniadeckiego, prowadzony już nie tylko przez scenografa, zainteresowanego ubiorem lub typem ludzkim, scenarijstę jakiegoś zaulka, ulicznej sceną, przedmiotem codziennego użytku, czy wreszcie fragmentem architektury, ale przede wszystkim przez plastyka obserwującego bacznie i zachłannie egzotyczny kraj i codzienne życie jego mieszkańców. Pośpieszna, nerwowa, pełną życia kreską notowane sceny są w stanie zainteresować przez swą lapidarność i syntetyczność ujęcia, trafność charakterystyki. Są autentyczną opowieścią z podróży człowieka chcącego i umiającego opowiadać obrazem. Szczególnie wydaje się interesować Sniadeckiego różnorodność typów ludzkich, różnorodność twarzy, z których każda, mimo że naszkicowana pośpiesznie, wydaje się być znakomitym konterfektom osoby portretowanej.

W sumie jest to interesująca wystawa nie tylko dla kinomanów, ciekawych przecież jak rodzi się dzieło filmowe w swych poszczególnych fazach. Powinna ona wystawie obejrzeć również młodzież. A także polecam ją raz jeszcze tym wszystkim, którym przygody Stasia i Neli nie pozostały jeszcze zupełnie objętne. A więc my, już dorośli, powróćmy raz jeszcze na krótką chwilę w krainę naszych dziecięcych fascynacji.

ANDRZEJ GRUN



Wojsko w sztuce

Malarstwo batalistyczne ma w sztuce polskiej tradycje bogate i sięgające czasów odległych. Temat ten był w pewnych latach bliski zarówno twórcom jak i odbiorcom sztuki. Zagościł on na płótnach szczególnie w wieku XIX, gdy słowa „ku pokrzepieniu serc” miały głęboką wymowę w Rzeczypospolitej bez granic i bez wolności. Malowali sceny batalistyczne tacy mistrzowie jak Matejko, Michałowski, Maksymilian Gierzyński, Grottger, Malczewski, Wyspiański. W scenach bitewnych i w pejzażu właśnie przejawiał się najsilniej duch sztuki narodowej, pozyskiując nam przyjaźń i szacunek innych narodów, wzmacniając jednocześnie autorytet moralny i wychowawczy we własnym społeczeństwie. „Ze swych wartości rdzennych z głębi polskiego dramatu historycznego, z tych samych źródeł, które wydały powieść Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, muzykę Szopena i Szymanowskiego — wyrastały dzieła malarstwa, rzeźby i grafiki, dzieła uderzające prawdą przeżycia, siłą wrażeń i odkrywczością formy”.

Tradycje tego gatunku są nadal żywe w naszej sztuce współczesnej. Wielu twórców, malarzy i rzeźbiarzy podejmuje ów temat, dając

tym samym wyraz nie tylko zainteresowaniu życiem współczesnej armii polskiej, ale także dowód zaangażowania w sprawy bliskie nam i dla nas znaczące. Przykładem tego była otwarta w październiku, w gmachu warszawskiej Zachęty ekspozycja pt. „Trzydzieści lat Wojska Polskiego w twórczości



Michał Bylina: Kolobrzeg 1945

plastycznej”. Wystawa zgromadziła obrazy, rzeźby, tkaninę artystyczną, rysunek i grafikę. W dziedzinie malarstwa i tkaniny wystawiono 178 prac 115 autorów, w dziedzinie rzeźby i medalierstwa — 251 prac 126 autorów. W dziale grafiki i rysunku — 171 dzieł 85 artystów. Z okręgu łódzkiego wzięło w wystawie udział 27 artystów, w tym 17 malarzy.

Ministerstwo Obrony Narodowej na wniosek Komisji

Nagrodę przyznało z okazji wystawy liczne nagrody i wyróżnienia artystom podejmującym tematykę batalistyczną. Nagroda III stopnia przyznana została znanemu łódzkiemu plastykowi, Wiesławowi Garbolińskiemu, za obrazy olejne: „Powrót syna” i „Chwila wytchnienia”. Składamy gratulacje z okazji zaszczytnego wyróżnienia.

A. G.

§ DYWAN DLA PANA KIEROWNIKA

Pan kierownik zajmował odpowiedzialne stanowisko: był szefem pracowni organizacji technologii i produkcji masarskiej WSS „Spolem” w Łodzi. Zawód technologia przetwórstwa mięsnego zobowiązuje, a funkcja — jeszcze bardziej — do nadzoru nad prawidłową gospodarką przetwórczą mięsnych zwyczajów i naczyniami. To w nich powstają dziesiątki gatunków kiełbas, które konsument nabywa następnie w sklepach, a które nie zawsze odpowiadają wyobrażeniom o jakości w zestawieniu z nazwą i ceną.

Z przykrością należy stwierdzić, że niedostatek jakościowy wędlin zawiadzamy w pewnym stopniu owemu kierownikowi. Nie tylko zresztą jemu. W wyniku prokuratorskich starań odszukano wielu jemu podobnych, co w konsekwencji powinno znacznie podnieść, jakość wędlin. Prokuratura ma pełne ręce roboty, prowadząc potężną ilość postępowań karnych przeciwko osobom, które dopuściły się wielomilionowych nadużyć w masarniach, zarejestrowanych w WSS „Spolem”, a położonych w wielu miejscowościach województwa łódzkiego. Jeszcze więcej osób występuje — w tych samych związkach przestępczych — z ramienia handlu detalicznego. Przystępca działość — jak to określa prokurator, obciąża przetwórstwo mięsne i handel detaliczny od kilkunastu lat, a było to możliwe między innymi dlatego, że osoby odpowiedzialne za właściwy nadzór i kontrolę produkcji i dystrybucji opłacane były przez kierowników masarni. Wygląda to na paradoks: Pobiera się pensje za rzetelną kontrolę, podpisuje się co miesiąc listę płacy i... blednie się po „wypłacie” do kierownika masarni...

Od czerwca 1970 r. Jerzy O. objął stanowisko kierownika i wyżywał poszczególne masarnie w województwie. Udał się w owym roku do Piotrkowa, gdzie tamtejszy oddział WSS prowadzi cztery masarnie. Kierownikiem działu produkcji w oddziale był wówczas Józef G. (odpowiadał w innym postępowaniu karnym). Między panami doszło do rozmowy, w której Józef G. dał do zrozumienia Jerzemu O., że podejrzewa kierowników masarni o nadużycia.

Na taki sygnał kierownik powinien zareagować natychmiast, ale on zajął pozycję wyścigu. W czasie następnego wizytu w Piotrkowie, kiedy widocznie obaj panowie doszli do wniosku, że darzą się wzajemnym zaufaniem — Józef G. zaproponował interes: o nadużyciach będzie cicho, a za to kierownicy masarni dadzą kilka tysięcy złotych. Suma nie pada, więc „projektobiorca” postawił kroknę nad „i”, żądając 10 tys. zł. Nie minęło dwa tygodnie, a projektodawca zjawił się w biurze Jerzego O. w Łodzi i wręczył mu 10 tys. zł.

Początek został zrobiony i od tej pory coś w rodzaju premii kwartalnych zasilało prywatną kase pana kierownika. Masarnie piotrkowskie, których sumienie obciążone było długotrwałymi nadużyciami, a kieszenie milionami złotych — nie mieli trudności z wydatkowaniem kilku czy kilkunastu tysięcy na rzecz tego, które nie dostrzega ich draństw. Nie robiło im nawet

większej różnicy, ilu takich trzeba opłacać i w jakiej formie. Kiedy więc jesienią rozszedła się wieść, że Jerzy O. zrywa ze staniem kawalerskim i zawiera związek małżeński i w związku z tym należało kupić mu... dywan, czterech kierowników dało po 500 zł bez wahania.

Dywan kupowali: Józef G. i Tadeusz P. — inspektor WSS „Spolem” w Łodzi. Ten ostatni był zresztą inicjatorem poczynienia takiego zakupu. Dywan zawieźli do mieszkania pana młodego. Nie wiadomo, czy akurat na przyjęcie weselne Jerzy O. zaopatrzył się w wędliny i mięsa w masarniach. Wiadomo jednak, że w czasie wizytowania (służbowego) lub też przy okazji organizowania kurso-konferencji poza zadaniami lapówek w różnej wysokości — żądał i otrzymywał od czasu do czasu drobne ilości mięsa i wędlin.

Piotrków nie był jedyną bazą, z której czerpał finansowe wsparcie bohater jednego z wielu aktów oskarżenia w „mięsną aferze”. Kiedy przeprowadzał kontrolę masarni w Kutnie, gdzie kierownikiem był Stanisław J., od niego też brał lapówki. Sam przyznał się do 9 tys. zł tudzież do darów w naturze: kurczaków, wędlin i mięsa wartości około 3 tysięcy zło-



tych. Przyjął też pieniądze od kierowników masarni w Łasku, Rawie Maz. i Łowiczu. I wiedział, że pieniądze te pochodzą z oszustwa, z wygospodarowania nadwyżek produkcyjnych, sprzedawanych poza ewidencją. Kierownik Jerzy O. odpowiadać będzie za lapownictwo. To postępowanie zakwalifikowane zostało z art. 240 pkt 1 kodeksu karnego: Kto w związku z pełnieniem funkcji publicznej przyjmuje korzyść majątkową lub osobistą, albo ich obietnicę (...), pełniąc funkcje — podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3. Pełnił funkcje szczególnie odpowiedzialną. Odpowiedzialny był nie tylko za prawidłową działalność masarni, lecz także za ochronę mienia społecznego i interesów nabywców. Sprzedał swoją funkcję wraz z zaszczytną odpowiedzialnością za kilkadziesiąt tysięcy złotych, za dywan, kiełbasę i kotlet schabowy...

SPRAWOZDAWCA

POWIĘKSZENIA

DOKŁADNOŚĆ

W felietonie pt. „Brawa dla Poznania” opublikowanym w „Literaturze” Jan Koprowski dzieli się wrażeniami, jakie wyniósł z międzynarodowego spotkania pisarzy, reprezentujących „science fiction”. Pisze on między innymi: „Drugim polskim laureatem został Czesław Chruszczewski, inicjator i spiritus movens zjazdu, autor wydanej niedawno powieści „Rok 10 000” (pisaliśmy o niej na łamach „Literatury”).”
Brawa dla felietonisty! Wystarczy spojrzeć na kartę tytułową książki „Rok 10 000”, żeby w podtytułach przeczytać „opowiadania i fantastyczne”. A poza tym wszystko się zgadza.

PRZEBIERANCY

Wł. Lach, z „Głosu Robotniczego” odwiedził polskich piłkarzy na treningu w Rembertowie.
„Sypał śnieg, hulał wiatr. Dobry gospodarz w taką pogodę nie wygnałby z chałupy nawet psa...”
Ale:
„...rener K. Górski poganiał w tym dniu do pośpiechu swych podopiecznych...”
A kiedy:
„...wyszli na dwór, ubiorem przypominali Eskimosów. Nawet długowłose założyli na głowę skafandry...”
Na szczęście na Wembley nie wyszedł żaden przebieraniec w skafandrze na głowie.

POŚWIĘCENIE

Reporter „Ziemi Łęczyckiej” pisze:
„Latwiej jest chyba milicjantowi śledzić przestępce, niż dziennikarzowi milicjanta. My jednak z okazji Dnia Milicjanta podjęliśmy się tej niełatwej roli, posuwając się dyskretnie krok w krok za dzielnicowym. (...) Dzielnicowy zasiadł za biurkiem.”
A dyskretny reporter — pod biurkiem.

SKUTKI REKLAMY

Tytuł z „Expressu Ilustrowanego” i „FIAT 126 p” zabił pieszego.

ŁÓDZKI DRAMAT

Dwie gazety: „Dziennik Łódzki” i „Express Ilustrowany” zajęły się kłopotami łódzkiej gastronomii. Okazało się, że jej plan obrotów jest poważnie zagrożony, gdyż z Łodzi odjeżdżają do innych miast strip-teaserki.
No i znów nam z Łodzi emigrują. Ot, problem!

APEL

„Ostatnio na ekranach naszych telewizorów ukazują się zdjęcia pięknej dziewczyny z jabłkiem oraz napis: BĄDZ ADAMEM. Panowie! To już do tego doszło?”

NIEDOMÓWIENIA

„Express Ilustrowany” donosi:
„Na zapleczu Szpitala im. Kopernika przy ul. Pabianickiej (...) w zgromadzonej przy parkanie stercie desek i płyt pilśniowych znajdowała się sprytnie zamaskowana „garsoniela” i korytarz. (...) Były tam szpitalne łóżka z kocami i krzesła. Okazało się, że z kryjówki tej korzysta grupa okolicznych wyrostków, którzy wykorzystali z zamieszania przy organizacji nowej placówki i sprytnie „zorganizowali” sprzęt szpitalny, budując sobie własny domek.”
„Express Ilustrowany” donosi dalej, że „zorganizowany” sprzęt zwrócono szpitalowi winowajcy uporządkowali za karę teren, a „zawiadomieni rodzice solennie przyrzekli wzmożenie kontroli nad swymi pociechami.”
W związku z tą notką „POWIĘKSZENIA” mają pytania: Pierwsze — jak po polsku nazywa się takie „zamieszanie przy organizacji nowej placówki?”
Drugie — co komu przyrzekło kierownictwo Szpitala im. Mikołaja Kopernika?
— Trzecie — jak wielka musiała być sterta desek i płyt pilśniowych, w której można było zbudować „własny domek”, składający się z przedpokojem, kilku pomieszczeń i korytarzy?”
Czwarte — co i komu przyrzekli właściciele pozostawionych materiałów budowlanych?

ALFARABI

Pewnego razu poeta Alqamah Ibn'Abdih zjawił się na dworze władcy Ghassanu, Al-Haritha Ibn Shamra, aby mu odczytać swoje wiersze. Ale podczas gdy poeta je recytował, król nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Wtedy to Ibn'Abdih zaczął wyśpiewywać swoje utwory przy akompaniamencie instrumentu. Wówczas władca laskawie zaczął się przysłuchiwać, zainteresował się poetycką twórczością i spełnił życzenia autora.

Tę historyjkę przytacza w swym traktacie o muzyce słynny filozof islamu — Alfarabi.

Ostatnio wiele krajów, zwłaszcza mahometanickich przygotowuje się do u. czenia 1100 rocznicy urodzin jednego z największych filozofów średniowiecza jakim był Mohammed Abu Nasr al-Farabi zwany Alfarabim. Urodził się on w roku 873 w Transoksa ii (Mawarannahr), kraju leżącym między rzekami Amu-darią i Syr-darią, dziś jest to obszar Turkmieńskiej

SRR. Filozof islamski zmarł w roku 950 w Damaszku. Był słynnym komentatorem pism Arystotelesa m.in. „Organonu”. Dzieła Alfarabiego posłużyły jako wzór późniejszym filozofom arabskim. Filozof zajmował się też m.in. żywo teorią muzyki i sposobami jej zastoso-

wania. Wiele jego spostrzeżeń do dziś zachowało swą aktualność, a jego sformułowania czy określenia w tej dziedzinie zaskakują nas — oraz niezwykle obrazowością i precyzją określenia.

Wielki filozof islamu z X wieku wyróżnia trzy rodzaje muzyki. A więc według niego istnieje muzyka po prostu dla przyjemności, inna służy budzeniu określonych wzruszeń, jeszcze inna adresowana jest do naszej wyobraźni i wyobraźnię tę pobudza. Muzyka dla przyjemności to ta, która jest miłą dla naszego ucha, chętnie słuchana po pracy, w chwilach wypoczynku człowieka, daje nam orędkę i wytchnienie. Muzyka działająca na naszą wyobraźnię, stosowana jest głównie przy deklamacji poezji, aby podprzeć efekt

wierszy, rozpaść lepiej wyobraźnię, a łącząc się ze słowami poematu wzmacniać efekt słów. Dlatego ów król Al-Harith Ibn Shamr nie zwrócił uwagi na wiersze recytowane przez poetę, lecz gdy usłyszał je połączone z melodią instrumentu nie tylko zaczął się przysłuchiwać z uwagą, ale zachwycił się i spełnił życzenia poety.

Według Alfarabiego najdoskonalszą formą muzyki jest ludzki głos. Temu to przypisać należy, że początkowo ludzie tworzyli instrumenty przypominające głos ludzi, takie jak — lutnie, liry czy inne o podobnym brzmieniu. Jakość śpiewu zależy z kolei od rodzaju poezji. Do niej to dostosowuje się melodie i instrument w zależności od tego czy będziemy słuchać romansu, lamentacji czy elegii.

Muzyka instrumentów, twierdzi Alfarabi, służy do akompaniowania, uzupełnienia śpiewu lub gra rolę preludium lub przerywników. Takie przerywy wypełnione tonami instrumentów służą też śpiewakowi dla

jego odprężeniu, a ponadto wyrazić mogą to czego nie można wyrazić samym głosem.

Jest też inny rodzaj muzyki instrumentalnej. To taka, która nie może imitować śpiewu, a więc formy muzyki najdoskonalszej, nie może też nawet śpiewu wspomagać. Instrumentem tej muzyki jest np. bęben z dzwonczkami. I tu Alfarabi daje niezwykle ciekawe porównanie do rysunku czy obrazu, który dziś nazwalibyśmy abstrakcyjnym. Przylównuje bowiem taką muzykę do dekoracji, która wprawdzie nie przypomina żadnego przedmiotu realnego, a może stwarzać przyjemność dla oka. Może ona służyć z powodzeniem jako przerywnik lub preludium w śpiewie.

Potrzeba słuchania i tworzenia muzyki, tak jak i poezji, jest potrzebą wrodzoną człowieka. To ona daje wytchnienie, ona pozwala nie pamiętać o zmęczeniu, przy muzyce człowiek potrafi zapomnieć o przepływie czasu, a to właśnie daje mu całkowite odprężenie i przynosi ulgę.

Alfarabi kreślił pokrótce historię pierwszych zapisów melodii, doskonalenia instrumentów, wzbogacania muzyki grą aktorską, mimiką, tańcem wreszcie.

Nie sposób jest omówić dokładniej wszystkie interesujące wywody Alfarabiego o muzyce. Warto jednak przypomnieć postać wielkiego filozofa islamu, którego pisma wywarły ogromny wpływ na rozwój kulturalny, artystyczny i naukowy świata mahometanickiego. Słynny Mohammed Abu Nasr al-Farabi, przez swych pism siał filozoficznych pozostawił po sobie m.in. „Wielki Traktat o muzyce”. Postać wielkiego filozofa islamu przypomniat ostatnio jeden z numerów czasopisma „Le Courrier” wydawanego przez UNESCO.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

DZIEWCZYNA Z RÓŻĄ

Porządkując książki na jakiejś zapomnianej półce, natrafiłem na ten gruby tom „Almanach młodych 1955-1956”, wydawnictwo „Iskry” — na okładce zrobiona pod Picasa twarz dziewczyny i róża... Siedemnaście lat temu kupiłem tę książkę za 13 zł u zawsze tego samego Jana Gierańczyka w tym samym wciąż i niezmiennie „Pegazie”...

O tym, że w almanachu są dwa moje wiersze, powiedział mi na wykładzie logiki prof. Pawłowski, Krzyszto Kubicki — dziś warszawski aktor i mąż piosenkarki Jolanty Kubickiej. Od niego to zresztą pożyczylem owe 13 złotych, których, o wstydzie! do dziś mu nie oddałem. Almanach jednak musiałem kunić „od zaraz” natychmiast, był to przecież mój „książkowy” debiut...

Przeglądałem tę książkę, czytając nazwiska ówczesnych debiutantów... Niezgodnie to było towarzystwo. Ernest Bryll, Andrzej Bursa, Bohdan Drozdowski, Jerzy Harasymowicz, Ireneusz Iredyński, Marian Ośnialowski, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jerzy Waleńczyk... To poeci. A w prozie?

Eugeniusz Kabac, Aleksander Minkowski, Janusz Majewski, który sukcesy zaczął odnosić dopiero w filmie, Bogdan Wojdowski...

Bursa i Ośnialowski nie żyją. Jeden zginął ponoć od gazu — drugi od sznura. Obaj sami wybrali dla siebie śmierć. Bursa w Krakowie, w jakimś szalonym amoku depresji po którymś kłótnym niepowodzeniu — ale jakże bezsensowna ta śmierć — tyle jeszcze było przed nim... Ośnialowski powiesił się w Łasku Bułohskim w Paryżu, piękne, romantyczne miejsce na śmierć... Ale to była rozpaczliwa decyzja oszukanego emigranta, który „wybierając wolność” nie wiedział jeszcze, że wybiera śmierć — najpierw cywilną, potem — to już konsekwencją — biologiczną.

Ośnialowskiego pamiętam jako cichego, delikatnego chłopca, jak gdyby uosobienie Samej Poezji. Bursa inaczej — pamiętam go jako hulaśliwego „buntownika”, bo ja wiem? — dziś byłby go może nazwali „konstatatorem”. Może dlatego dzisiejsi młodzi konstatatorzy tak chętnie się do niego przyznają? Iredyńskiego pamiętam z

dołcipu, który urządził na którymś z poznańskich Festiwałów Poetyckich. Nie pisywał wówczas jeszcze dramatów i powieści, pisał wiersze. Na koncercie poetyckim w poznańskim Klubie Książki i Prasy mieliśmy czytać po jednym utworze; Iredyński sdebił kilkanaście swoich wierszy w jeden monstrualny rulon i rozwijając go powoli odczytał furę wierszy jako jeden utwór... Regulaminowi stało się zadość.

Szczęście do plagiatów (jeśli to można nazwać szczęściem) miał Bohdan Drozdowski. Zanim jeszcze wybuchła głośnie i do dziś zresztą kontrowersyjna — historia „Konduktu”, miał właśnie Drozdowski swojego plagiatora. Działo się to jeszcze w Łodzi, a plagiatorem był młody wówczas pisarz. Czy zresztą plagiatorem? Dla niego pojęcie cudzej własności literackiej było raczej niezna-

ne. Kiedy Drozdowski na jakimś zebraniu ówczesnego Koła Młodych przeczytał swój wiersz „Pokaz gimnastyczny”, pisarz powiedział: „Stary, to jest dobry pomysł, ale ja go zrobię lepiej...”. Myślano zrazu, że żartuje, ale on nie żartował. Wziął z wiersza Drozdowskiego pomysł i większość metafor, zatytułował „Olimpiada” i... wydrukował w tygodniku „Dziś i Jutro”. Był oczywiście skandal i oburzenie, listy do redakcji itp. Plagiatorem tym wszystkim był raczej zdziwiony, nie bardzo

wiedział, czego od niego chcą. Stan jego literackiej świadomości najlepiej określa taki fakt; podszedł kiedyś do mnie i rzekł lekko zbulwersowany: „Stary, wiesz, dowiedziałem się dziś, że wiersze drukuje się nie tylko w gazetach, ale i w całych książkach...”. Było to gdzieś osiemnaście lat temu.

Bryll, Drozdowski, Harasymowicz, Wojdowski — to dziś prawie klasycy. Bursa, Hłasko, Ośnialowski — nie żyją. To pokolenie debiutujące w „Almanachu Młodych 1955-1956” nazywa się dziś pokoleniem średnim. Odbiegłszy młodość od lat młodości...

Mimo pomyłek, potknięć, tragedii i zdrad, jakie były udziałem tego pokolenia debiutującego u progu drugiej połowy trzydziestolecia Polski Ludowej, wniosło ono chyba coś istotnego do współczesnej literatury. Ani tragiczne śmierci, ani głupie decyzje niektórych z tego pokolenia faktu owego nie zmienia. Bo więcej niż została we współczesnej literaturze na dobre i na złe.

Dlatego z takim sentymentem odkrzyłem ten zapomniany tom z portretem dziewczyny z różą na okładce. Dziewczyna z różą, znaczy młodość. Dla mnie przynajmniej.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



WIDOK

ANGLICY CONTRA TOMASZEWSKI

Gdybym była żoną Jana Tomaszewskiego — „Człowieka, który powstrzymał Anglię” — byłabym wściekła. Bo to nie ja, tylko oszalałe z radości dziewczyny, może i z Polonii, ale co z tego, rzuciły mu się po meczu na szyję i obcałowały go ze wszystkich stron. Taki to już los żon bohaterów. Trzeba jednak Tomaszewskiemu — mężowi wybaczyć te uściski, bo zastrzył na nie. Był najlepszy.

Za to nie był najlepszy tego dnia Jan Ciszewski. „Cudowne, przepiękne, kapitalne podanie Polaków” — krzyczał sprawozdawca w chwili, kiedy piłkę odbierali nam Anglicy i akcja znów przenosiła się na nasze pole karne. Jan Ciszewski mówił często nie o tym, co działo się na boisku, a o tym, co chciał, aby tam się działo. Denerwowało to jeszcze bardziej i tak już zdenerwowanych kibiców. Ciszewski jest sprawozdawcą, któ-

ry angażuje się, który przeżywa to, w czym uczestniczy. I dlatego czasem mówi nieprecyzyjnie. Ale podejrzewam, że po niefortunnym programie telewizyjnym ze Szczakielm i późniejszym, niepotrzebnym kajanju się, stał się nazbyt ostrożny, zaczął przesładzać. Mecz Polska — Anglia oglądałam dwukrotnie. I dopiero przy powtórce można było dostrzec to, czego człowiek nie zauważył za pierwszym razem. Było to wspaniale wy-

stawisko. Wydawałoby się, że w tym emocjonującym pojedynku wystarczy tylko śledzić kamerami piłkę, a przecież widzieliśmy i zawiedzioną minę Clarke'a, któremu nie udało się przechytrzyć Tomaszewskiego, widzieliśmy skracającego się z bólu Tomaszewskiego, podczas błyskawicznego zabiegu, widzieliśmy Shiltona, który kucając odwrócił się, aby nie patrzeć jak strzelają karnego Tomaszewskiemu. Trudno powiedzieć, czy była to solidarność bramkarzy, czy strach, że Clarke nie da rady, ale możemy być wdzięczni realizatorom, że moment ten pokazali. Widzieliśmy też szal radości naszych zawodników, po ostatnim gwizdku sędziego i nakładające się na to obrazy zaplankanych graczy angielskich. Realizatorzy angielskiej telewizji nie tylko sensacyjnie widowisko, ale i jego bohaterów, ich ludzkie reakcje. Mecz ma być powtórzony w telewizji. Można będzie go obejrzeć jeszcze raz już bez emocji. Szczególnie polecał-

bym to naszym realizatorom sportowych widowisk. Ktoś po meczu powiedział: „To była obrona Częstochowy”. Myślę, że w tym rzykownym porównaniu jest cząstka prawdy. Była to bowiem w zasadzie gra na jedną bramkę. I chociaż remis z Anglikami jest naszym zwycięstwem, to po opadnięciu wszystkich emocji można spokojnie ocenić grę polskiej jedenastki. Zdaję sobie sprawę, że w tym ogólnonarodowym świętowaniu naszego sukcesu z Wembley niepopularne będzie przypomnienie, że już kiedyś mieliśmy takie święto. Było to stosunkowo niedawno, kiedy Wojciech Fortuna wrócił z Japonii. Dziś o Wojciechu Fortunie pamięta się raczej rzadko i trochę nam głupio, bo później nie było już powodów do radości. W ubiegłą niedzielę Tomasz Hopffer miał nam przekazać wynik towarzyskiego meczu Polska-Irlandia. Nim to uczynił wygłosił niemal cały referat, w którym usiłował wytłumaczyć,

że nasza drużyna jest zwyciężczynią na Wembley, że grała bez Tomaszewskiego, Musiała i Gorgonia, że teraz każda drużyna będzie chciała pokonać sławnych Polaków i dopiero po tych wyjaśnieniach zakomunikował, że Polska przegrała 1:0. Była to kropla zimnej wody, która jest potrzebna, aby nie zapomnieć, że sport to jest sport, a piłka jest okrągła. Tomasz Hopffer koniecznie chciał tę kroplę wody osłodzić, aby nie zepsuć świątecznego nastroju. A po co, przecież przegrávají też najlepsi i na tym polega urok sportu. Byłoby dobrze, gdyby mecz z Irlandią pozwolił inaczej spojrzeć na to, co działo się na stadionie w Wembley w środę 17 października 1973 roku. Weszliśmy do finałów Mistrzostw Świata i jest to ogromny sukces naszej jedenastki, ale głównie zawdzięczamy go Janowi Tomaszewskiemu i obronie. Anglicy byli przecież od nas szybsi, ich podania były cenniejsze, jakże rzadko mogliśmy się przedo-

SPORT

stać w okolicy bramki Shiltona. Swoją wymowę ma również ilość rzutów różnych, wybijanych po polskiej stronie boiska. Już dawno stwierdzono, że „najlepszą obroną jest atak”. Myśmy sobie na taką formę obrony nie mogli pozwolić. Byłoby dobrze, gdybyśmy sobie uświadomili, że radość z sukcesu naszej jedenastki i rzeczowa ocena jej gry, to są dwie zupełnie różne sprawy, które nawzajem się nie wykluczają. Będzie niedobrze, jeśli poprzestaniemy tylko na okrzykach: genialni, znakomici, wspaniali, bo zbyt łatwo wierzy się w takie zapewnienia. Na szczęście od finałów w Monachium dzieli nas cały rok. Jeśli nie chcemy, aby znów powtórzył się mecz, w którym Jan Tomaszewski będzie potrzebował dziesięciu pomocników, to trzeba wziąć się do rzetelnej pracy.

BOGDA MADEJ

PRZECIEŻOŚĆ

HISTORIA I PIOSENKA

Miałem zamiar poświęcić ten felieton omówieniu najnowszych publikacji, dotyczących dziejów klasy robotniczej, w szczególności kotających tonów wydanych pod redakcją S. Kalabińskiego z serii „Polska klasa robotnicza”. Oglaszane tu wyniki badań, prowadzonych w wielu ośrodkach naukowych całego kraju, w istotny sposób wzbogacają naszą wiedzę historyczną, pozwalają na lepsze zrozumienie roli klasy robotniczej w nowożytnych i najnowszych dziejach Polski, dostarczają podstawy dla rozprawy o dziejach ruchu robotniczego w szerszej niż dotychczas perspektywie, w ścisłym związku z dziejami klasy społecznej, z której on wyrastał. Zwrot w badaniach historycznych ku problematyce dziejów klasy robotniczej stanowi bowiem podstawę dla innego,

nie mniej ważnego zwrotu, mianowicie wyzwolenia naszej historiografii ruchu robotniczego z uniformizmu, wyrażającego się w niedostrzeganiu różnicowania ruchu w różnych regionach, w zależności od odmiennych warunków miejscowych, jak również — co zdaje się nam jeszcze ważniejsze — ze schematycznych praktyk, wyrażających się w izolowaniu przeszłości ruchu od dziejów klasy społecznej, z traktowania historii ruchu robotniczego jako jakiegoś „krajania elit”. Zabrałem się więc do lektury wydanych właśnie tomów czwartego i piątego „Polskiej klasy robotniczej” i w ten sposób dotarłem do studium, po którego przeczytaniu zrezygnowałem na razie z pierwotnego zamiaru i postanowiłem poświęcić ten felieton

tylko jemu, zostawiając resztę na później. Władysław Lech Karwacki, uczony związany do niedawna z ośrodkiem łódzkim, opublikował w tomie piątym wspomnianego wydawnictwa arcyciekawą i nowatorską rozprawę (ściśle jej pierwszą część), zatytułowaną: „Piosenka w środowisku robotniczym. Z dziejów kultury i obyczajów klasy robotniczej”. Zagadnienie blache jest tylko pozornie. Historyk podkreśla, że „na podstawie dotychczasowych antologii pieśni i piosenek robotniczych oraz nielicznych opracowań tego zagadnienia sądzić by można, że w środowisku miejskiego proletariatu śpiewano wyłącznie pieśni rewolucyjne i buntownicze”. „Jeżeli nurt ten wyczerpywał całokształt robotniczego folkloru”. Tak jednak nie było, i „poza nim istniał w pewnej formie jeszcze istniejący, bogaty repertuar pieśni i piosenek, które towarzyszyły codziennym przejawom robotniczego życia, które leczyły go z przeżyciami narodu, a nieradko podejmowały tematy wybiegające poza krąg zakreślony sprawami środowiska czy kraju”. Jest niezmiernie charakterystyczne, że ów specyficzny folklor robotniczy znany jest znacznie gorzej, niż folklor wiejski, ba, nawet szlachecki; sama nazwa „folklor” i od niej pochodne przywykliśmy wszak kojarzyć nie z miastem, ale ze wsią. Zwroć-

niemże „wpadająca w ucho”, łatwa do zapamiętania i powtórzenia, prosta melodia. Zresztą historyk zwraca także uwagę i na ten aspekt zagadnienia, choćby wtedy, gdy relikwionuje fakty przechwytywania popularnych melodii, nośnych w środowisku robotniczym przez politycznego przeciwnika i odwrotnie, dopisywaniu do znanych melodii nowych tekstów o treściach rewolucyjnych. Przykładem są dzieje „Białego sztandaru”, rieszni endeckiej, mającej być odpowiedzią na „Czerwony sztandar”, napisanej do melodii tego ostatniego przez Wiktora Gomułkię, a także socjalistycznej „wersji” znanej hymnu „Boże coś Polskę”, łączącej nowy, rewolucyjny w wymowie tekst z dawną melodią. Niemniej uważa badacz, że zdaje się skupiać — i sądze, że jest to w pełni uzasadnione — głównie na treściach tekstów, wydobytych z zapożyczenia robotniczych piosenek, które można uważać za zapis świadomości zbiorowej, o której, jak dotychczas, nasza wiedza jest bardzo fragmentaryczna i jednostronna. Dysponujemy tylko pierwszą częścią rozprawy W. L. Karwackiego, wypada więc powstrzymać się na razie od formułowania ogólniejszych wniosków, mianowicie próba odpowiedzi na pytanie, czy i w jakiej mierze słowny materiał, przedstawiony i interpretowany przez badacza,

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróć. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2307. T-4. Nr indeksu 37006

10840-A

